



MAŁOPOLSKA
Wielu Kultur

WIELE KULTUR WSPÓLNE MIASTO

wydawnictwo mik

Rozmowy o roli kultury
w integracji nowych mieszkanek
i mieszkańców Krakowa

Opracowanie: **Elżbieta Kaproń**

WIELE KULTUR, WSPÓLNE MIASTO

Rozmowy o roli kultury
w integracji nowych mieszkanek
i mieszkańców Krakowa

Opracowanie: **Elżbieta Kaproń**

SPIS TREŚCI

- 4 Wprowadzenie

- 10 Ważne jest zejście na poziom życia codziennego –
 rozmowa z **Haliną Czubą**

- 23 Kultura to jest to, co tworzymy razem –
 rozmowa z **Carlosem Pankiem**

- 36 Bóg dał nam rozum, żebyśmy się zastanawiali –
 rozmowa z **imamem Adamem Wajeehem Abdelem
 Fattahem**

- 50 Trzeba wyciągnąć kulturę z baru –
 rozmowa z **Valeriją Blagojević**

- 63 Gdyby wszyscy tworzyli taką samą muzykę,
 przestałaby być potrzebna –
 rozmowa z **Wassimem Ibrahimem**

- 75 Jesteśmy superróżnorodni –
 rozmowa z **Karoliną Czerską-Shaw**

Od kilkunastu lat obserwujemy przekształcanie się społeczności Krakowa pod wpływem rosnącej liczby nowych mieszkanki i mieszkańców, pochodzących z innych niż polski kręgi kulturowe. Z miasta o dużym i dobrze wykorzystywanym potencjale turystycznym, o dawno już oswojonej obecności wielojęzycznych grup cudzoziemców wypełniających lokale gastronomiczne, zwiedzających zabytki, uczestniczących w międzynarodowych festiwalach, Kraków przeobraża się w przestrzeń dzieloną przez różnorodną pod względem językowym, etnicznym, religijnym i pokoleniowym społeczność, dla której staje się miejscem zamieszkania, zdobywania wykształcenia, pracy – tymczasowym lub stałym domem.

Według diagnozy opracowanej na potrzeby *Programu integracji imigrantów w województwie małopolskim MAŁOPOLSKA OTWARTA* pod koniec 2022 roku w naszym regionie mieszkało już ponad 165 tysięcy imigrantów, zarówno ekonomicznych, jak i przymusowych. Wśród cudzoziemców legalnie przebywających w Małopolsce są przedstawiciele ponad 120 państw – najliczniejszą grupę stanowią Ukraińcy, kolejną Białorusini, a w pierwszej piątce znalazły się również osoby pochodzące z Gruzji, Indii i Federacji Rosyjskiej. Z uwagi na zmiany o charakterze geopolitycznym, gospodarczym i klimatycznym można spodziewać się, że w kolejnych latach wzrastać będzie również liczba przybyszów z Azji, Ameryki Południowej i Afryki.

Choć nie sposób przewidzieć, jak będzie się rozwijała sytuacja migracyjna, potrzebujemy wiedzy, narzędzi i umiejętności, które pozwolą nam odnaleźć się w tej nowej rzeczywistości i odpowiednio reagować na zachodzące zmiany. Instytucje kultury, jako podmioty aktywnie angażujące się w procesy komunikacji i moderowania przepływów międzykulturowych, mają do odegrania szczególną rolę: ich zadaniem jest tworzenie warunków dla jak najlepszego zagospodarowania potencjału nowych mieszkanki i mieszkańców regionu. Ważne jest jednak, by jednocześnie zadbać o zachowanie spójności społecznej i kulturowej, która zapewni komfortowe współistnienie i współdziałanie grup o rozmaitych tożsamościach – nie tylko etnicznych czy narodowych, ale również należących do różnych pokoleń, preferujących różne style życia, różnorodnie definiujących swoje życiowe cele.

Jesteśmy świadomi, że na integrację społeczną składają się dynamiczne i wielowymiarowe procesy, wymagające zaangażowania zarówno ze strony dotychczasowych, jak i nowych mieszkańców miasta, a także – budowania wielostronnych relacji między osobami i grupami o różnych potrzebach, poglądach, kompetencjach, aspiracjach i planach życiowych. Obserwując procesy adaptacji i uczestnicząc w nich, zastanawiamy się nad sposobami skutecznego ich wspierania przez instytucje i środowiska kultury działające w naszym mieście.

W 2022 roku wszyscy doświadczyliśmy dramatycznej zmiany: otwierając się na szukających schronienia przed wojną obywateli i obywatelki Ukrainy, zetknęliśmy się bezpośrednio z tysiącami historii, różnymi sytuacjami życiowymi, różnymi postawami wobec codziennych wyzwań. O ile wcześniej o różnicach kulturowych dyskutowano na mniejszą skalę i w gronach specjalizujących się w tej tematyce, obecnie każdy i każda z nas może już mówić o osobistych relacjach międzykulturowych, nawiązywanych w często angażujących silne emocje okolicznościach. Dla większości z nas wielokulturowy Kraków przestał już być wizją przyszłości – stał się naszą codziennością. Otworzyliśmy się na zmianę nie potencjalną i zachodzącą stopniowo, lecz przyjęliśmy ją z miejsca jako etyczną oczywistość, naszą odpowiedź na problemy globalizującego się świata.

Wyłaniająca się wielokulturowość Krakowa stawia przed nami wiele zadań, które – jako instytucje kultury powołane do pracy na rzecz integracji społecznej – jesteśmy zobowiązani podejmować, jednak ich powodzenie w dużym stopniu zależy od zrozumienia specyfiki międzykulturowych relacji. Dotychczasowe modele działań projektowane z myślą o społeczności Krakowa wymagają przemyślenia i przebudowania w taki sposób, by udział w nich był dostępny dla wszystkich. Kluczem do sensownych, przynoszących realne efekty działań jest nieustanne pogłębianie wiedzy o tym, kim jesteśmy, czego potrzebujemy i co wnosimy w życie miasta – my, mieszkanki i mieszkańcy Krakowa.

Gdy w grudniu 2022 roku wspólnie z polskimi i ukraińskimi środowiskami kultury spotkaliśmy się podczas konferencji *Solidarna kultura*, dyskutowaliśmy o tym, jak otwierać przestrzeń kultury dla wszystkich jej twórców i uczestników. Zastanawialiśmy się nad sposobami przełamywania poczucia obcości i lęku przed nową kulturą, wychodzenia poza stereotypowe wyobrażenia i klisze myślowe, często towarzyszące zetknięciu z nowymi grupami mieszkańców miasta, a także nad sposobami komunikowania się i podejmowania wspólnych przedsięwzięć pomagających w adaptacji do realiów życia w wielokulturowym mieście. Rozmowy na te tematy – rozszerzone o perspektywy innych, już nie tylko ukraińskich mieszkanki i mieszkańców Krakowa – były kontynuowane w kolejnych miesiącach. W czerwcu 2023 roku, podczas zorganizowanej z inicjatywy Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ konferencji *Razem poprzez kulturę*, w gronie ekspertów, urzędników, badaczy i reprezentantów różnokulturowych środowisk szukaliśmy praktycznych rozwiązań pozwalających na skuteczne włączanie grup mniejszościowych w działania integracyjne podejmowane przez instytucje kultury. Jednocześnie trwały prace nad realizowanym przez Wojewodę Małopolskiego we współpracy z Województwem Małopolskim *Programem integracji imigrantów w województwie małopolskim MAŁOPOLSKA OTWARTA*.

W pięciu warsztatach diagnostycznych i dwóch warsztatach strategicznych wzięło udział łącznie ponad dwieście osób reprezentujących administrację rządową i samorządową, społeczeństwo obywatelskie, środowiska imigranckie, pracodawców, instytucje oświatowe i instytucje kultury oraz środowiska naukowo-badawcze. Ogłoszony 15 listopada 2023 roku program polityki integracyjnej jasno określa potrzebę przyjęcia rozwiązań systemowych oraz wzmacniania współpracy i koordynacji aktywności różnych podmiotów publicznych, prywatnych i społecznych. W podobnym duchu prowadzone są również prace nad odświeżeniem formuły działania programu Otwarty Kraków oraz kolejnym okresem funkcjonowania Centrum Wielokulturowego.

Małopolski Instytut Kultury w Krakowie inicjuje i włącza się w te działania z pozycji instytucji dbającej o dialog. Naszą misję rozumiemy jako pośredniczenie między przeszłością i przyszłością, torowanie szlaków między różnorodnymi osobami i grupami mieszkającymi w regionie, poddawanie refleksji naszych lokalnych praktyk kulturowych, ewoluujących pod wpływem zachodzących w świecie zmian. Obserwujemy i analizujemy procesy rozgrywające się w kulturze, a także tworzymy sieci współpracy – pomagamy dzielić się doświadczeniem, wykorzystywać nowe metody i narzędzia pracy. Dlatego zdecydowaliśmy się przygotować publikację, która – mamy nadzieję – pomoże kadrom instytucji kultury zagłębić się w tematy związane z różnorodnością społeczną i kulturową z perspektywy autentycznego ludzkiego przeżywania rzeczywistości. O ile dane statystyczne i formalne wskaźniki dotyczące udziału w naszym życiu osób z doświadczeniem migracyjnym dostarczają bazowej wiedzy ilościowej, o tyle nasze zrozumienie sytuacji, z jaką mierzymy się obecnie, wchodząc w bezpośrednie relacje z nowymi mieszkańcami i mieszkańcami naszego miasta i regionu, w dużej mierze zależy od wsłuchania się w ich głosy, poznawania motywacji, rozterek i nadziei towarzyszących ich osadzeniu się w nowej rzeczywistości.

Proponujemy spojrzenie na wyłaniającą się wielokulturowość Krakowa przez pryzmat obserwacji i refleksji osób o zróżnicowanym doświadczeniu kulturowym. Pomoże nam to uchwycić najistotniejsze z ich perspektywy punkty odniesienia i pola współdziałania, na których warto się skupić przy opracowywaniu programów i działań włączających w życie Krakowa wszystkich jego mieszkańców i mieszkanki.

Do rozmów o rozmaitych wymiarach zakorzeniania się w nowej rzeczywistości kulturowej i społecznej zaprosiliśmy sześcioro praktyków „codziennej międzykulturowości”. To osoby doświadczające życia na przecięciu kultur nie tylko w zewnętrznych jego przejawach – w pracy, na uczelni, w sklepie czy podczas spotkań integracyjnych – ale przede wszystkim we własnych domach, rodzinach, kręgach najbliższych przyjaciół. Każdy i każda z nich patrzy na procesy docierania się i formowania lokalnej tożsamości

nowych mieszkańców Krakowa z innej perspektywy, zwraca uwagę na wiele różnych uwarunkowań wpływających na nasze postrzeganie wspólnej – wydawałoby się: jednakowej – rzeczywistości.

Nasze rozmowy dotyczyły między innymi następujących kwestii:

- **Jak tworzyć warunki sprzyjające ekspresji kulturowej, swobodnemu funkcjonowaniu w codziennej rzeczywistości, rozwojowi i współtworzeniu tożsamości – zarówno miasta, jak i jego zróżnicowanej społeczności?**
- **Co wspiera i przeciwnie – co utrudnia porozumienie między różnymi osobami, grupami, środowiskami (zarówno w komunikacji migrantów z instytucjami, jak i pomiędzy sobą)?**
- **Które aspekty rzeczywistości są czytelne i zrozumiałe, a które wymagają objaśnienia, osadzenia w kontekstach?**
- **Jakie aktywności mogą zaoferować użyteczną platformę spotkań i współpracy różnych środowisk?**

Od naszych rozmówców usłyszeliśmy wiele ciekawych – i przydatnych w praktyce! – objaśnień, wskazówek i obserwacji związanych z funkcjonowaniem w międzykulturowym środowisku. Osobiste doświadczenia przeplatają się w ich narracjach z konkretną wiedzą dotyczącą różnych grup migrantów. Możemy dostrzec w nich zarówno podobieństwa, jak i wyraźne różnice – wynikające z odmiennych statusów społecznych lub zawodowych, bliskich lub odległych odniesień kulturowych, a także rozmaitych strategii i planów życiowych przyjeżdżających do Polski przybyszów spoza kraju. W każdej z tych opowieści zawarte są również rekomendacje dla instytucji kultury: obszary i działania, które warto przemyśleć i przeformułować, by lepiej służyły procesom integracji, jednocześnie poprawiając dostępność i możliwość uczestniczenia w życiu kulturalnym miasta jego dotychczasowych mieszkanki i mieszkańców.

Halina Czuba – pochodząca ze Lwowa badaczka wielokulturowości i wykładowczyni w Zakładzie Studiów Polsko-Ukraińskich UJ – wprowadza w kierujące naszymi zachowaniami, a często nieuświadomiane wymiary kultury, przygląda się codziennym międzyludzkim kontaktom, zastanawia się nad wielością tożsamości kształtujących każdego człowieka.

Carlos Panek – pracujący jako urzędnik państwowy Brazylijczyk o polsko-żydowskich korzeniach – opowiada o powrocie do kraju przodków, przybliża latynoskie doświadczenia związane z przeprowadzką na inny kontynent, szuka inspirujących dla nowych mieszkańców sposobów współtworzenia kultury.

Adam Wajeeh Abdel Fattah – wywodzący się z polsko-palestyńskiej rodziny imam krakowskiego Centrum Kultury Islamu – objaśnia kulturowe i religijne aspekty islamu, przygląda się zróżnicowaniu muzułmańskiej społeczności Krakowa, proponuje ścieżki edukacyjne przeciwdziałające lękowi przed kulturową i religijną odmiennością.

Valerija Blagojević – pochodząca z Bośni studentka i aktywistka – dzieli się przemyśleniami na temat życia w powojennej bałkańskiej rzeczywistości, przedstawia trudności, z jakimi mierzą się przyjeżdżający do Krakowa zagraniczni studenci, zwraca uwagę na nieformalne obiegi kultury w mieście.

Wassim Ibrahim – syryjski muzyk i kompozytor, wykładowca krakowskiej Akademii Muzycznej i twórca Chóru w Kontakcie – skupia się na roli sztuki w budowaniu relacji międzyludzkich, przypomina o wspólnych źródłach wielu kultur, zachęca do angażowania w życie społeczne nowych mieszkańców poprzez wspólne inicjatywy artystyczne.

Karolina Czerska-Shaw – wychowana w Kanadzie badaczka polityk migracyjnych i wykładowczyni w Zakładzie Badań nad Zmianami Społecznymi w Europie UJ – diagnozuje nierównomiernie występujące skupiska wielokulturowości w Polsce, podpowiada sprawdzone praktyki integracyjne, zachęca do dostrzegania różnorodności społecznej nie tylko w wymiarze narodowym i etnicznym.

Takich rozmów przed nami jeszcze wiele. Wierzymy, że instytucje i środowiska kultury, które aktywnie włączają się w procesy transformacji i adaptacji służące poprawieniu jakości życia w mieście i regionie, zechcą podążać tropem zindywidualizowanych, podmiotowych badań rozmaitych potrzeb i potencjałów kryjących się w różnorodnej społeczności Krakowa i Małopolski. To proces otwarty i zmienny – bieżące wyzwania będą ewoluowały wraz z pogłębianiem znajomości specyfiki i uwarunkowań życiowych konkretnych osób i grup. Istotne jest przy tym uważne przyglądanie się nie tylko problemom związanym z włączaniem w obiegi kulturowe nowych mieszkank i mieszkańców, ale i coraz pełniejsze otwieranie się i dostosowywanie naszych działań i programów do potrzeb grup o rozmaitych profilach – seniorów, rodziców, osób o różnych potrzebach. O wprowadzanych rozwiązaniach warto myśleć w duchu dostępności: na ile nasze działania pozwolą na swobodny rozwój międzyludzkich kontaktów. To także proces kształtowania agory kultury – stwarzania okazji i warunków do komunikowania się osób o różnym światopoglądzie, różnych tożsamościach, należących do różnych pokoleń.

Instytucje kultury mogą i powinny podejmować rolę mediatorów, pośredniczek w relacjach pomiędzy jednostkami składającymi się na konkretne zbiorowości. Umożliwiają rozmowę, stwarzając preteksty do usłyszenia się nawzajem, określenia tego, co nas dzieli i co nas łączy, dajemy sobie szansę dookreślenia tego, kim jesteśmy my sami – każda i każdy z nas. Kultura zawsze rodzi się z dialogu, z przecinania się różnych punk-

tów widzenia. Tworząc sieć wzajemnie wspierających się, a także dzielących się wiedzą i kompetencjami ośrodków społecznej i kulturowej aktywności, instytucje kultury mogą wzmacniać poczucie obywatelskiej sprawczości i motywować do podejmowania inicjatyw zapewniających większy komfort życia i swobodę ekspresji kulturowej zróżnicowanym gronom uczestniczek i uczestników naszego życia społecznego.

Nie jesteśmy w tej drodze sami. Możemy łączyć nasze rozmaite specjalizacje i pola aktywności, by wspólnie podołać wyzwaniom integracji. To wielostronne procesy, w których nawet drobne działania i zmiany postaw mogą mieć wielkie znaczenie. Ważne, by dopełniały się one wzajemnie i prowadziły do stopniowego przekształcenia dzielonej przez rozmaite – indywidualne i zbiorowe – podmioty rzeczywistości w przyjazną, otwartą, dostępną przestrzeń współdziałania.

Zachodzące obecnie zmiany demograficzne dotyczą nas wszystkich, bez względu na wiek, pochodzenie, zawód, światopogląd czy status społeczny. Znajdujemy się w sytuacji, w której istotne jest nie tyle przyjmowanie i akceptowanie (bądź nie) nowych zjawisk społecznych i kulturowych, co ich świadome i odpowiedzialne współtworzenie. Nasza wielokulturowa rzeczywistość przybierze taki kształt, jaki sami jej nadamy.

WAŻNE JEST ZEJŚCIE NA POZIOM ŻYCIA CODZIENNEGO

**rozmowa
z Haliną Czuba**

ELŻBIETA KAPROŃ: Zorganizowane w MIK-u warsztaty dla osób o różnym doświadczeniu międzykulturowym zatytułowałaś *Wiele kultur, wspólne miasto. Co w praktyce oznacza, że w mieście jest „wiele kultur”?*

HALINA CZUBA: To rzeczywistość, którą obserwujemy i coraz częściej słyszymy na ulicach Krakowa. Język polski oczywiście dominuje, natomiast czasami jako filolog z wykształcenia, zastanawiam się, mijając pogrążone w rozmowie grupy: „W jakim języku oni mówią?”. Wiadomo, łatwo rozróżnić angielski, niemiecki, francuski, ale słysząc też języki, których nie potrafię od razu rozpoznać.

Kraków wygląda teraz inaczej, niż kiedy przyjechałam tu 25 lat temu. Wtedy to była „polska” Polska, a teraz bardzo wyraźne jest zróżnicowanie narodowościowe na ulicach, w knajpach. Coraz częstsze i łatwiejsze podróże również odgrywają istotną rolę jako droga otwarcia na inne kultury: z jednej strony przyjeżdżają do nas obcokrajowcy, z drugiej strony my też możemy polecieć do ich krajów.

Na Starym Podgórzu, gdzie mieszkam, w moim osiedlowym sklepie, widzę osoby, często z dziećmi, które wyraźnie nie są z tej okolicy, a nawet nie z tej części świata, i to mi uświadamia, że Kraków się zmienił. Można tego doświadczyć w bardzo bliski sposób. To zmiana, która nie tyle następuje, co już nastąpiła.

Kraków od lat prowadzi politykę ukierunkowaną na turystykę: do turystów kierowana jest oferta i rozbudowywane usługi. Mieszkając w Krakowie, doświadczaliśmy więc obecności obcokrajowców, którzy przyjeżdżali tu na festiwale albo wakacje. Oswoiliśmy się z nimi. Na czym polega różnica w porównaniu z obecną sytuacją?

Na tym właśnie, że to nie są turyści! Gdy ktoś robi zakupy w osiedlowym „Groszku”, to znaczy, że nie jest turystą, tylko tu mieszka. Jeśli ktoś oddaje dziecko do przedszkola, to na pewno nie przyjechał tu na miesiąc czy dwa, tylko na dłużej. Więc ta różnica wynika nie tylko z tego, że jest więcej turystów, tylko na stałe zamieszkało tu bardzo wiele osób pochodzących z innych krajów. I to nie tylko studenci, dyplomaci i pracownicy międzynarodowych korporacji. To też dzieci, które chodzą do przedszkola, do szkół, klubów sportowych. Oczywiście przeważają Ukraińcy, ale rośnie też liczba Białorusinów, Gruzinów, bardzo wiele osób przyjeżdża z Indii. Oni tu nie wpadli na chwilę, tylko stali się częścią naszej wspólnej rzeczywistości. Główna zmiana polega zatem na tym, że zaczynamy się spotykać w życiu codziennym.

Wiążą się z tym pewne wyzwania zarówno dla nowych, jak i dotychczasowych mieszkańców miasta. Podczas warsztatu wiele osób mówiło o tym, że niezależnie od narodowości czy pochodzenia czują się mocno związane z Krakowem. Jak przebiega proces stawania się „tutejszym”?

Sama w którymś momencie zorientowałam się, że przez długi czas mówiłam, że na święta jadę „do domu”, czyli do Lwowa, do rodziców. A ostatnio, będąc we Lwowie, powiedziałam mamie: „Wiesz co, ja już chcę do domu”, mając na myśli Kraków. Powiedziałam to spontanicznie, ale to chyba wynikało z tego, że tu, w Krakowie, już nie czuję się przyjezdną, lecz miejscową. Sposób myślenia o sobie pokazuje, kim jesteś w tym mieście.

Wspólny Kraków to jest przestrzeń, w której musimy funkcjonować obok siebie. Ci, którzy przyjechali, muszą wejść w system szkolnictwa, edukacji, opieki zdrowotnej. Coś ich może zdenerwuje, coś im nie odpowiada, ale i tak muszą się w tym systemie odnaleźć.

Oczywiście każdy by chciał, żeby żyło mu się w Krakowie dobrze i wygodnie, ale jest to w dużej mierze indywidualny, wewnętrzny proces przystosowania. Nie można nikomu powiedzieć: „No to teraz poczuj się jak u siebie”. Myślę, że te procesy najszybciej zachodzą u dzieci i młodzieży w wieku szkolnym. W następnej kolejności dotyczy to rodziców tych dzieci, którzy z konieczności muszą zacząć funkcjonować w ramach systemu szkolno-opiekuńczego.

Pewna badaczka środowiska polskich migrantów w Norwegii zwróciła uwagę na różnicę w głośności zachowania: Norwegowie są dużo cichsi i zachowują się dyskretniej. Dla miejscowych ludzi głośne zachowanie migrantów stanowiło duży dyskomfort, coś się dla nich w ten sposób gwałtownie zmieniało, wręcz przestawali czuć, że są u siebie. To nasze sąsiedztwo, wychodzenie do sklepu, przychodni, pracy, chodzenie dzieci do szkoły, oznacza wiele takich sytuacji, z którymi jakoś musimy się zmierzyć. Jednak integracja to nie jest tylko kwestia tego, że ci, którzy tu przyjechali, mają się dostosowywać, ale w pewnym sensie jest to praca dla nas wszystkich.

I to jest właśnie najtrudniejsze, żeby zaakceptować, przyjmując.

Widzę dwie perspektywy. Ze strony przyjmującej może to wyglądać tak, że przyjechało wiele osób zachowujących się inaczej i to może w pewnym momencie razić i wywoływać niepokój. A jeśli jakieś zachowania są nagminne, to wręcz frustrację, niechęć i oburzenie. Ale jest też ta druga strona – i myślę, że o tym warto też wspomnieć – ta, która przyjeżdża. Potrzebny jest moment zrozumienia, że jednak przyjeżdżasz do innej kultury. A zazwyczaj przyjeżdżamy właśnie ze swoimi nawykami, ze

sposobem mówienia, którego często nawet sobie nie uświadamiamy. Gdy Włosi podczas mówienia gestykulują, to nie jest tak, że myślą: „O, teraz będę używać takich gestów”, tylko tak są wychowani, to jest dla nich zachowanie naturalne.

Myślę, że bardzo ważna jest wrażliwość również ze strony tych, którzy przyjeżdżają, by zechcieli wejść w nową rzeczywistość i odnaleźć się w niej.

Na czym takie wejście może polegać?

Przede wszystkim na pozytywnym nastawieniu, otwieraniu się na rzeczywistość.

Wiele osób, zwłaszcza pracujących w międzynarodowych korporacjach, przyjmuje, że wystarczy znać język angielski i już da się funkcjonować we współczesnym świecie, niezależnie od tego, w jakim kraju zamieszkają. Tymczasem język to jest ta pierwsza droga, jedna ze ścieżek otwierania się na miejscową kulturę. Bo przecież w języku chodzi nie tyle o sam język jako narzędzie komunikowania, ale też o otwarcie na ludzi, z którymi próbujemy się porozumieć, pokazanie, że chce się z nimi być.

I tak, jak strona przyjmująca chce szukać dróg porozumienia i integracji, również nowi mieszkańcy powinni – nawet jeżeli przyjeżdżają tylko na jakiś czas – znaleźć w sobie wolę i wykształcić gotowość do poznawania, odkrywania polskiej rzeczywistości. To może być język, obyczaje, sposoby patrzenia na świat, ale również sztuka, literatura, filmy, które opowiadają o tym, kim są Polacy, jaką mieli historię.

Jednak u ludzi bardzo młodych, znających angielski, współczesnych, kosmopolitycznych, którzy jeszcze nie wiedzą, gdzie docelowo chcieliby zamieszkać, można zaobserwować pewien trend w myśleniu: skoro nie jestem pewny, że przyjechałem tu na długo, to nie warto integrować się, inwestować w naukę miejscowego języka. Bo to jednak inwestycja – czasu i wysiłku.

Dla wielu kobiet z dziećmi, które przyjechały teraz z powodu wojny, ten brak włączania się jest raczej związany z niepewnością, brakiem siły psychicznej i czasu. Jest w nich również pewnie niezgoda na tę całą sytuację...

Tak, ale nawet osoby, które przyjechały tu przed wojną, z własnej woli, do pracy, też niekoniecznie uczyły się języka. Kiedyś miałam ucznia, dorosłego mężczyznę, pracownika jednej z międzynarodowych korporacji, który od pięciu lat razem z rodziną mieszkał w Polsce i pierwszą lekcję języka polskiego zaczęliśmy od: „Ja jestem, ty jesteś...”. Zapytałam: „Jak pan się uchował przez pięć lat, nie nauczywszy się nawet podstaw języka?”. Współpraca układała się nam dość opornie, aż w końcu powiedziałam: „A może by pan tak poznał ludzi, jakieś filmy obejrzał, do muzeum poszedł? Tak po prostu z ciekawości, a nie, że muszę, bo mam egzamin”. No i faktycznie, w pewnym momencie zapytał: „To jaki film pani poleca?”. Rzeczywiście zaczął oglądać, coś

więcej czytać, po jakimś czasie powiedział, że w sumie to nawet ciekawe doświadczenie. W taki sposób język robi się dużo bardziej zrozumiały niż wtedy, gdy uczy się go wyłącznie z podręcznika.

Jeśli już tu mieszkasz, nawet jeśli tylko przez kilka lat, to naprawdę warto otworzyć serce, żeby poznać ludzi i ten kraj.

Poznawanie kultury to nie tylko kwestia zapoznawania się z jej warstwą symboliczną, z wytworami kultury.

No tak, jesteśmy z jednej strony istotami biologicznymi, ale z drugiej strony – społecznymi. W tej naszej naturze społecznej kryją się zasady zachowań, sposoby myślenia. To właśnie jest kultura – wszystko, co dotyczy funkcjonowania społeczeństwa ludzkiego. Zawsze mówię studentom, że kultura to nie tylko to, co w muzeach czy na scenie, nie tylko obrazy, architektura, muzyka, lecz sposób, w jaki się do siebie odnosimy, co myślimy o świecie i jak go odbieramy. Jako istoty społeczne jesteśmy kształtowani przez kulturę. Przyjmujemy pewne sposoby zachowania od rodziców i otoczenia, nawet nieświadomie. W dużym stopniu jesteśmy ukształtowani przez naszą kulturę. Kultura tkwi w nas.

Przykład z życia. Niedawno byłam z moim przyjacielem we Włoszech. Był późny wieczór, już dawno po kolacji, ale widzieliśmy, że niektóre knajpy są jeszcze otwarte. Byliśmy głodni, bo dopiero wróciliśmy z wycieczki. No to kolega wchodzi do jednej małej restauracji i pyta kelnera: „Do której jest otwarte?”. Pan był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem. A ja mówię do kolegi: „Nie pytaj w ten sposób. Zapytaj, czy jeszcze dostaniemy coś do jedzenia”. To w naszym kraju lokal jest otwarty w określonych godzinach, zaś w małym miasteczku we Włoszech to jest decyzja właściciela i pracowników restauracji oraz ich gotowość do nakarmienia głodnych turystów poza przyjętymi godzinami posiłków. Widziałam, że kolega w pierwszej chwili był zaskoczony. W kolejnej knajpie to już ja rozmawiałam z właścicielem. Dostaliśmy pyszną pastę z gęsiną.

I to też jest kultura. Podchodzimy do pewnych rzeczy nawykowo, bo my tak robimy, bo u nas tak jest przyjęte i nawet nie zastanawiamy się, że gdzie indziej może być inaczej. Dopiero w zetknięciu z inną kulturą widzisz, że nie wszystko jest takie samo i oczywiste. I to moim zdaniem jest wielokulturowość: nie tylko różne języki, ale też uświadomienie sobie i zaakceptowanie tego, że może być inaczej.

Wspólny Kraków to jest przestrzeń, w której musimy funkcjonować obok siebie. Ci, którzy przyjechali, muszą wejść w system szkolnictwa, edukacji, opieki zdrowotnej. Coś ich może zdenerwuje, coś im nie odpowiada, ale i tak muszą się w tym systemie odnaleźć.

Podczas wspomnianego już warsztatu posłużyłaś się metaforą kultury jako góry lodowej. W jej widocznej części umieszczone były takie zjawiska jak literatura, teatr, gry, kuchnia, style ubierania się, architektura, sztuki piękne...

Tak. To, co można zobaczyć, co odbieramy świadomie. Natomiast w tej skrywającej się pod powierzchnią części góry lodowej mieszczą się role mężczyzn i kobiet w rodzinie i społeczeństwie, stosunek do rodziny, dzieci, do innych istot żywych, postrzeganie ludzi starszych, stosunek do pracy i majątku, sposoby komunikowania się i wyrażania emocji, indywidualne i wspólnotowe sposoby organizacji życia i wiele innych ważnych spraw.

I właśnie to nas konstytuuje, nasza część społeczna funkcjonuje w oparciu o te niewidoczne normy. Nie jesteśmy ich świadomi. Nikt nas ich też specjalnie nie uczy, a mimo to są w nas mocno zakodowane, bo przybieramy te zasady i postawy w trakcie dorastania, w procesie socjalizacji. Od rodziców oraz z obserwacji otoczenia – już jako bardzo małe dzieci. Na przykład podział obowiązków: kto z tobą jest dłużej – mama czy tata? Co kto robi w domu? W jaki sposób do siebie mówią?

Kiedyś robiłam zajęcia dla studentów o stylach komunikacyjnych, które zatytułowałam *Męskie rozmowy i babskie gadanie*. Jak nietrudno się domyślić, dotyczyły różnic genderowych. Już samo to, w jaki sposób mówimy o jakimś zjawisku, pokazuje nasz stosunek do niego. Różnice genderowe są również uwarunkowane kulturowo i to właśnie dlatego, pomimo wielu działań antydyskryminacyjnych, wciąż bardzo trudno jest się ich pozbyć.

Zagłębiając się w wielokulturowość, powinniśmy głębiej zajrzeć w relacje społeczne i tworzyć przestrzeń do tego, żeby te różne wartości, style bycia, światopoglądy można było ze sobą wypracowywać, współtworzyć.

Jeżeli będziemy tworzyć warunki do tego, żeby ludzie się ze sobą spotykali, rozmawiali i wzajemnie się poznawali, to dajemy szansę na to, że powstanie coś nowego, wspólnego. Nie chodzi o to, żeby przeważał któryś styl zachowania, jedynie, żeby zobaczyć, że opcji może być wiele i one mogą być różne.

Mówi się o tym, że w mieszanych rodzinach, w których rodzice wywodzą się z różnych kultur, dzieci wychowują się właśnie w takiej „trzeciej kulturze”. W takich rodzinach do zetknięcia międzykulturowego dochodzi na co dzień. Dzieci z takich rodzin mają większą świadomość, że opcji może być więcej niż jedna.

Myślę, że w wyzwaniu wielokulturowości najważniejsze jest zaakceptowanie tego, że może być inaczej niż ogólnie przyjęte – i że to też jest OK. Bo my jesteśmy bardzo mocno zżyci z myślą, że to, co moje, jest prawdziwe, poprawne, tak powinno być. A trzeba przyjąć i zgodzić się na to, że są też inne opcje, zwyczaje, zachowania.

Zresztą wielokulturowość występuje nie tylko pomiędzy różnymi krajami, ale też między regionami czy nawet między starszym i młodszym pokoleniem. Różnice kulturowe mogą być genderowe, religijne, językowe, związane z życiem na wsi lub w dużym mieście. Po prostu uszanujmy to, że tak jest.

Podczas warsztatu przeprowadziłaś z nami ćwiczenie, podczas którego mieliśmy określić najistotniejsze – dla każdego i każdej z nas indywidualnie – elementy naszych tożsamości. Bardzo nam to wszystkim dało do myślenia. Mieliśmy czas, żeby wpisać, co nas definiuje, z czym się utożsamiamy – i z tego, co pamiętam, mieliśmy tu całkowitą dowolność...

Tak. To było zadanie „Kim jesteś?”.

Ważny był również sposób, w jaki nas z tych tożsamości „odpytywałaś”. Każdy mógł się swobodnie na ten temat wypowiedzieć; ale był też taki moment, w którym mieliśmy wstawiać, gdy wywoływana była jakaś kategoria: „rodzina”, „religia”, „hobby”, „miasto” – żeby zobaczyć, w jakich „konstelacjach” tworzymy grupy wspólne.

Tak. Ważne było też pytanie o to, jak się czujesz, gdy jesteś sam, to znaczy, gdy tylko ty określasz się według pewnej kategorii. To były takie niby błahe kategorie: czy masz zwierzęta? Czy lubisz gotować? Ale też „poważne” – język, religia, narodowość.

To jest trudne ćwiczenie, bo gdy robisz je po raz pierwszy, to musisz się naprawdę dobrze zastanowić, co o sobie powiedzieć. Kim jesteś: kobietą, człowiekiem? Bo z jednej strony jest tych naszych oblicz tak dużo, a z drugiej nie tak często się nad nimi zastanawiamy. Ciekawe jest też to, co wysunie się na plan pierwszy: czy jestem przede wszystkim żoną, mamą, córką, nauczycielką? Niekoniecznie będą to kwestie związane z narodowością.

Po tym warsztacie pomyślałam, że jeśli zastanowić się nad tym wszystkim głębiej, to nigdy nie jesteś sam czy sama. Zawsze znajdziesz kogoś, z kim coś cię łączy. Może to będzie bycie studentem, rodzicem albo pasją podróżowania. Warto zastanowić się nad tym, że czasami mamy podobne pola i grupy odniesienia, ale w ich obrębie możemy definiować siebie w różny sposób. Na przykład w odniesieniu do religii – ktoś napisze o sobie, że jest wierzący albo że należy do którejś konfesji, a ktoś – że jest niewierzący. I wtedy takie osoby, mimo że wpisały różne odpowiedzi, tak naprawdę będzie więcej łączyć niż dzielić, bo to, że wybrały tę kategorię (religię), oznacza, że dla nich wszystkich ważne są kwestie duchowe.

Zorganizowanie takiego warsztatu nie wymaga niczego skomplikowanego. Wystarczy trochę miejsca i przede wszystkim czasu na to, żebyśmy przez chwilę mogli nie zajmować się bieżącymi zadaniami, tylko mieli chwilę dla siebie – na refleksję, introspekcję, wymianę, rozmowę...

I właśnie po to są instytucje kultury!

Bo jak często zastanawiamy się w naszym codziennym życiu nad tym, kim jesteśmy, a tym bardziej kim jest mój sąsiad i inne osoby w moim otoczeniu? Trzeba znaleźć na to miejsce i czas, zaprosić ludzi. Uważa się, że w okresie dojrzewania, jako nastolatki, bardzo aktywnie szukamy odpowiedzi na tego typu pytania. A potem przestajemy, a przecież człowiek i jego tożsamość w ciągu życia się zmienia, więc jest to ważne i w jakimś stopniu nawet bardzo osobiste doświadczenie: nawiązywanie kontaktu ze sobą, odkrywanie tego, kim jestem, co jest dla mnie istotne w tym konkretnym momencie mojego życia.

Z jednej strony mamy do czynienia z różnorodnością tożsamości i relacji w społeczeństwie, z drugiej – zanikają międzyludzkie relacje. Może gdzieś w tym wszystkim jest też taka szansa na nawiązywanie kontaktu – i z sobą samym, i z innymi?

Młode pokolenie rzeczywiście ma problem z komunikacją interpersonalną, z wyjściem do drugiego człowieka. Moi studenci powiedzieli mi nawet ostatnio, że dzwonienie do drugiej osoby ich zdaniem jest wręcz niekulturalne, ponieważ jest zbyt mocnym wchodzeniem w jej prywatność. Jak się ma jakąś sprawę, to należy przesłać wiadomość. Osobiście zawsze wolę zadzwonić, ponieważ nie widzę w tym nic niestosownego i lubię rozmawiać z ludźmi. A oni to odbierają inaczej.

Podróżując, ostatnio odkryłam hotele samoobsługowe, w których nie ma recepcji. To działa. Sama robisz rezerwację pokoju przez internet, po przyjeździe drukujesz plastikową kartę do obsługi windy i otwierania drzwi, płacisz, wchodzisz, wychodzisz – nie ma osobistego kontaktu. Może jest to komfortowe, ale ja wolę tradycyjną recepcję, żeby się przywitać, zapytać o drogę, jaką restaurację polecają w okolicy, co zwiedzić. Nawet jeśli o tym wszystkim mogę się dowiedzieć z internetu. No ale mocno czuję, że ja jestem jednak człowiekiem XX wieku, a XXI wiek to trochę inna rzeczywistość.

Powinniśmy tworzyć wspólne przestrzenie i okazje do spotkań dla wszystkich, którzy chcą wziąć w nich udział?

Zdecydowanie tak. Może nie jesteśmy tego nawet świadomi, ale tych okazji do bezpośrednich spotkań wcale nie jest tak wiele. Albo są, ale nie dla wszystkich. Jako osoba ucząca języka polskiego obcokrajowców często słyszę od nich pytanie: „Halina, gdzie mogę porozmawiać po polsku?”. I to w Krakowie, w sercu Polski!

Myślę, że każdy człowiek ma prawo do swojego wyboru, czy chce się kontaktować, czy nie. A instytucje kultury są po to, żeby te relacje inicjować, moderować. Jeśli ktoś nie będzie sobie tego życzył, to nie przyjdzie, ale trzeba dać mu na to szansę.

*Myślę, że każdy człowiek
ma prawo do swojego
wyboru, czy chce się
kontaktować, czy nie.
A instytucje kultury są
po to, żeby te relacje
inicjować, moderować.*

W MIK-u często słyszymy od młodych ludzi, naszych wolontariuszy, że angażują się w działania, nawiązują kontakty z ludźmi, żeby się sprawdzić, przekonać się, czy w czymś się odnajdą, czy coś im pasuje. To dla nich okazja do poznawania samych siebie.

Podobnie jest z otwieraniem się na wielokulturowość czy różnorodność – to tak naprawdę sprowadza się do prywatnego poziomu. Ważna jest oczywiście polityka, strategie i programy integracyjne, ale to, czy jestem naprawdę otwarta na inną kulturę, innego człowieka, zależy tylko ode mnie. Jeśli mam przyjaciela lub przyjaciółkę z innego kraju, mam okazję bliższego zetknięcia się również z tą kulturą, poznania jej.

Zawsze mówię, że najlepszy sposób nauczenia się języka to poznać chłopaka albo dziewczynę, albo znaleźć przyjaciół. To bardzo przyspiesza naukę, naprawdę. Albo pytam studentów: „A byliście na Wigilii w jakiejś polskiej rodzinie?”. I jak ktoś był, to już będzie wiedział, że święta w Polsce to nie tylko czas, kiedy sklepy są zamknięte. Mówię im, żeby spróbowali karpia czy mazurka wielkanocnego. Zachęcam zawsze do tych indywidualnych, prywatnych znajomości. Bardzo dobrze jest poznać kogoś na jakimś warsztacie, ale bardzo ważne jest, czy to się potem przeniesie w jakąś bardziej prywatną przestrzeń – znajomości, przyjaźni, bo dopiero wtedy się rodzi prawdziwa relacja.

Bardzo cenię to, że po przyjeździe do Polski metaforycznie wskoczyłam na głęboką wodę. Znalazłam się w otoczeniu Polaków – w pracy, w akademiku, na ulicy, wszędzie. Szybko okazało się, że moja sąsiadka uczy polskiego w Szkole Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego. Zaczęłam tam chodzić, poznałam mnóstwo ciekawych ludzi. Po pierwszym miesiącu, gdy pojechałam na kilka dni do Ukrainy, to chciałam szybko wracać, bo miałam już tu, w Polsce, koleżanki, studentów, zajęcia, jakieś sprawy, coś się ciekawego działo. Wtedy nie byłam świadoma, jak dużo mi to dało, jeśli chodzi o „zanurzenie się” w Polsce. Teraz to bardzo doceniam.

Natomiast jeśli duża grupa osób przyjeżdża w tym samym czasie, to jest też naturalne, że nie znając języka, nie znając obyczajów, trzymają się razem.

Dlatego to, co na początku mówiłyśmy, wydaje się takie ważne: gotowość przyjeżdżających tu osób do otwarcia się oraz chęć wyjścia ze swojego najbliższego otoczenia.

Wiadomo, zdarzają się trudne sytuacje, nikogo też nie można zmuszać do integracji. Ale jeśli masz w sobie siłę, a do tego planujesz zostać, to naprawdę warto wyjść.

Dużo nie stracisz, a prawdopodobnie wiele zyskasz.

Bezpośredni kontakt daje też poczucie bezpieczeństwa, uwalnia od poczucia obcości i niezrozumienia. A z drugiej strony stajemy się mniej podatni na manipulacje, narracje polityków, dezinformację.

Tak, wtedy obcokrajowiec przestaje być kimś abstrakcyjnym. To jest ktoś, kogo znam, bo na przykład jego dzieci przychodzą do moich. I to ma naprawdę zupełnie inny wymiar.

Myślę też, że dobrze jest oddziaływać na młode pokolenia, bo w tym wieku jeszcze można wykształcić wrażliwość, otwarcie i chęć poznawania innych. Kiedy jesteśmy dorośli, wiele poważnych kwestii zaprzęta nam myśli – kredyt, praca, dzieci, obowiązki – i już na takie „głupoty” nie ma czasu. Chociaż nie jest to żadna głupota, oczywiście.

Jakich rekomendacji udzieliłabyś instytucjom kultury?

Wydaje mi się, że ważne jest robienie wielu drobnych rzeczy. Nie chodzi o jakieś masowe wydarzenia na setki czy tysiące uczestników, tylko żeby zaaranżować wiele różnych okazji do nawiązywania kontaktów. Instytucje kultury niekoniecznie muszą projektować jakieś specjalnie zadania, ale raczej zadbać o to, żeby stworzyć warunki do spotkań: dać czas, przestrzeń, zachętę.

Instytucja kultury jest dobrym miejscem – neutralnym dla wszystkich uczestników. Na pewno poczuć się bezpiecznie, bo nie ma tu jakiegoś obowiązku, chcesz przyjść – to przychodzisz. Stąd można się przenieść w sferę prywatną. Można z tego skorzystać lub nie – bo też nikogo nie można zmusić do zawierania głębszych znajomości. Bezpieczeństwo kontaktów polega właśnie na braku zobowiązania. Można się wycofać, jeśli komuś to nie pasuje.

A co robić z kwestią tożsamości narodowych? Jak działać, żeby nie utrwalać podziałów według kryteriów językowych czy etnicznych? Wydaje mi się, że niekorzystne jest takie nadmierne koncentrowanie się na prezentowaniu różnych kultur narodowych. Lepiej zapraszać do udziału w naszych „normalnych” działaniach, organizować po prostu spotkania otwarte na różnych ludzi – poświęcone ekologii, modzie – i wspierać je językowo poprzez asystentów językowych, którzy służą pomocą w momencie nieporozumienia. Żeby aktywność językowa nie była najważniejsza.

Tak, te wszystkie wieczory kultury ukraińskiej – choć nie podważam całkowicie ich sensu – mogą utrwalać stereotypy, że Ukrainiec to wyszywanki, pierogi, flaga...

To raczej powinny być działania typu kuchnia, wspólne hobby, wspólne wycieczki, sport, sadzenie kwiatków czy jakieś inne drobne rzeczy, które będą podstawą do tego, żeby ci ludzie dalej swoje kontakty rozwijali. Bo okaże się, że język nie jest aż taki ważny, to tylko narzędzie. Choć trzeba się oczywiście porozumieć, ale w ostateczności można się wspomagać językiem angielskim.

Te typowe prezentacje, że najpierw przedstawia się coś ukraińskiego, a potem polskiego – może właśnie odpuścić? Zjedźmy coś razem, ugotujmy polsko-ukraiński, albo włoski czy jakiś inny obiad – żeby to był pretekst do kontaktów, do rozmowy. Myślę, że to jest bardziej ludzkie. Nie stawia nas gdzieś wysoko, tylko poruszamy się w rzeczywistości, z której korzystamy na co dzień. Jedzenie, wyjazdy, spotkania z rodzicami, z dziećmi, wspólne zabawy – bo każdy rodzic chce dziecku zapewnić zabawę i rozwój, i samemu może trochę odpocząć w tym czasie. Ważne jest zejście na poziom życia codziennego.

Instytucja kultury powinna być pomostem, z którego można wskoczyć w polskie morze. A dalej to już jest sprawa prywatna. Ważne jest to, co lubię, w jakim kierunku chcę iść. Świetnie, jeśli po drodze spotkam ludzi z innych kultur, z którymi mam o czym porozmawiać i możemy coś razem zrobić. Myślę, że to jest dobra droga. Albo wiele dróg – każdy może sobie jakąś swoją ścieżkę wybrać i wydeptywać.

KULTURA TO JEST TO, CO TWORZYMY RAZEM

**rozmowa
z Carlosem Pankiem**

ELŻBIETA KAPROŃ: Właściwie jesteś ojcem chrzestnym tej publikacji. Po zorganizowanej przez MIK konferencji *Solidarna kultura* poświęconej budowaniu relacji między polskimi a ukraińskimi środowiskami kultury w Krakowie zaproponowałeś rozszerzenie perspektywy na wszystkie grupy narodowe, które tu mieszkają. Podczas kolejnej konferencji, przygotowanej we współpracy z Instytutem Studiów Europejskich *UJ Razem przez kulturę*, rozmawialiśmy o tym, co z tych różnych perspektyw i doświadczeń wynika dla instytucji kultury. Główna myśl jest chyba taka, że instytucje kultury powinny przemyśleć, co to jest kultura.

CARLOS PANEK: Tak. Dla każdego będzie to trochę co innego.

Wydawałoby się, że kultura to jest ta sfera, w której ktoś, kto jest tu nowy, próbuje się osadzić. I że od tego osadzenia zależy to, czy poczuje się tu u siebie. Chcemy się więc wspólnie zastanowić, w jakich kierunkach myśleć o integracji. Takie rozmowy są niezbędne, bo dla wielu z nas wielokulturowość to zjawisko nowe.

No tak. Polska przez stulecia była krajem wielokulturowym, po II wojnie światowej to się zmieniło, zostało wyłączone z języka politycznego – ale jednak było to państwo wielokulturowe.

Ty sam jesteś w Polsce od...?

Od 15 lat.

OK, zatem twoje doświadczenie polskiej rzeczywistości jest odmienne od doświadczenia ludzi, którzy się wychowywali w Polsce Ludowej czy jeszcze w latach pięćdziesiątych – my widzieliśmy Polskę jednorodną, homogeniczną, i ta wielokulturowość, o której mówisz, była zjawiskiem znanym właściwie tylko z podręczników historii. Wielu Polaków nadal myśli i odczuwa, że jesteśmy monokulturowym krajem. Nie widzimy rzeczywistości takiej, jaką ona jest teraz, tylko ciągle nam się wydaje, że jesteśmy dość jednolici.

Z własnego doświadczenia i z tego, co czytałem, widzę, że rzeczywiście, ze względu na pamięć zbiorową, trochę jest tak, jak mówisz. Duży wpływ miała na to II wojna światowa, wszystkie zmiany granic w jej wyniku i okres PRL-u, który nie był sprzyjający ani zachęcający dla nikogo, kto chciałby tu przyjechać, zarabiać, robić karierę. I rzeczywiście, w ciągu tych kilkudziesięciu lat Polska stała się, jak mi się wydaje, krajem jednokulturowym.

I po upadku tamtego reżimu nie dało się tego nagle, z dnia na dzień zmienić. To jest proces, który wymaga pewnego czasu. Ludzi spoza Polski pojawia się coraz więcej,

ale niestety w ostatnich latach język polityczny próbował kreować obraz Polski jako kraju białych katolików urodzonych w Polsce. Często nawet odwołania do II RP czy czasów wcześniejszych pomijają kwestię wielokulturowości. Niestety bardzo tę kwestię upolityczniono. Przestano nawet mówić o polskich Tatarach i wielu zasymilowanych Polakach innych narodowości.

A jak Polska rzeczywistość wygląda z twojej perspektywy? Gdy patrzysz na Kraków, widzisz wielokulturowe miasto?

Tak. Oczywiście na innym poziomie niż w Amsterdamie, Berlinie czy Paryżu, ale widzę wielokulturowe miasto z ogromnym potencjałem dialogu, gdzie wszystkie mniejszości mogą współistnieć.

Mamadou Diouf, senegalsko-polski muzyk i działacz społeczny, otwierając naszą konferencję, pięknie mówił o tym, że Polska może się cieszyć, że nie mamy etnicznych czy językowych gett. I taka też była motywacja do mojego projektu – żebyśmy się nie obudzili za dziesięć lat ze świadomością, że coś przeoczyliśmy. Żeby nie tworzyły się podziały na lepszych i gorszych obywateli. Nie chciałbym, żeby w Polsce tak było.

Polska ma potencjał, żeby stać się krajem wielokulturowym. Widzę to coraz bardziej, nie tylko w Krakowie – coraz więcej cudzoziemców mieszka w Rzeszowie, Opolu. Ale jeśli nie stworzymy warunków, żeby ci ludzie czuli się tu jak w domu, to nie będzie integracji.

Instytucje kultury mogą być takimi naturalnymi miejscami kontaktu? Mogą mieć wpływ na to, żeby ludzie się ze sobą poznawali, żeby przestali się traktować jak obcy?

Tak. Powinny być taką agorą kultury.

Jednym z elementów kultury – jako cechy ludzkości – jest wymiana między grupami społecznymi. Kultura tworzy się przez życzliwy dialog. Mogę się tu powołać na moje osobiste pozytywne doświadczenie, bo byłem bardzo serdecznie przyjęty przez wszystkich moich kolegów i wykładowców ze studiów. Choć wybrałem dość konserwatywny kierunek – historię na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Przyjechałeś do Polski prosto z Brazylii? To był skok od razu z jednego kontynentu na drugi?

Tak. Na początku oczywiście myślałem, żeby aplikować na studia na najlepsze uczelnie w Stanach, w Anglii, we Francji, ale po jakimś czasie pomyślałem: „Dlaczego nie do Polski?” – stąd pochodzi przecież moja rodzina.

Wybrałem historię, bo wtedy – mówię o 2008 roku w Brazylii – bardzo mało o Polsce było wiadomo. Mimo że chodziłem do bardzo dobrego liceum, to historia Polski za-

czyniała się tam dopiero w 1939 roku, gdy Hitler napadł na Polskę. Polska to był kraj, gdzie zaczęła się II wojna światowa.

A Solidarność była obecna?

Tak, tak. Ale na przykład o Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie było ani słowa.

Ja się tego później wstydziałem, bo wszyscy moim znajomi tutaj te rzeczy znali, a ja na studiach w ogóle pierwszy raz usłyszałem o Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Czy o Komisji Edukacji Narodowej, z której uważam, że każdy Polak powinien być dumy, bo na poziomie centralnym został stworzony organ nadzorujący szkolnictwo w kraju. Takie rzeczy Polacy wiedzieli oczywiście z liceum, ale ja się o nich dowiadywałem dopiero na studiach.

Uważam, że Polska ma potencjał nie tylko, żeby dobrze przyjąć obcokrajowców, ale też żeby Polacy nie odczuwali ciągłej potrzeby dowartościowania siebie. Często widzę tendencję do myślenia, że wszystko co z Zachodu, jest lepsze. Nie zgadzam się z tym. Może coś w Anglii albo w Stanach się sprawdza – ale to jest inny kraj. A w Polsce – może tak, ale może i nie. Więc moja motywacja do działania jest właśnie taka: poczekajmy, zobaczmy, co w Polsce jest fajne. Może coś się nie sprawdza w innych krajach, a u nas zadziała.

Oczywiście można być dumnym ze swojego pochodzenia, ze swojego kraju. Ale nie ma lepszych i gorszych kultur. I właśnie do tego zmierzam w tym wszystkim. Nie jest tak, że moja kultura brazylijska jest lepsza, dlatego chcę ją sprowadzać do Polski, ani że polska kultura jest lepsza, dlatego trzeba ją przynosić do Brazylii. Każda kultura ma swoją wartość, każda kultura jest ciekawa i po prostu będą one ewoluować pod wpływem zachodzących w świecie zmian. Mamy internet, jest dużo więcej małżeństw międzynarodowych, studenci krążą swobodnie po świecie. Kwestia jest tylko taka, jak się do tych zmian nastawimy, bo one następują – czy tego chcemy, czy nie.

Więc idźmy w kierunku dialogu, uznawania swojej wartości i doceniania innych. Chodzi o to, żebyśmy nie wpadli w imperializm kulturalny.

To, że nie ma historii Polski w szkole brazylijskiej, niespecjalnie mnie dziwi; my też nie uczymy się historii Brazylii. Ale ty wróciłeś do kraju przodków. Czy kultura polska była obecna w twoim domu? Czy przez to, że wróciłeś do kraju, skąd twoja rodzina wywędrowała, miałeś jakieś kulturowe pomosty?

Mieliśmy tu jeden kontakt, ale ogólnie to doświadczenie w Polsce było dla mnie całkowitym *novum*. Nawet języka nie znałem, tylko „dzień dobry”, „dziękuję” i „biedronka” – bo moja babcia uwielbia te owady.

Jeśli chodzi o polskość, to w domu mało mi jej przekazano. Myślę, że w mojej rodzinie nie mówiło się po polsku, bo moi pradziadkowie bardzo przeżyli swoją ucieczkę do

Brazylii. Mój pradziadek osiągnął w Krakowie sukces zawodowy w młodym wieku i musiał to wszystko opuścić. Wyjechał do nieznanego kraju. Wspominał oczywiście o swoim okresie życia tutaj w międzywojniu, ale niekoniecznie rzeczy typu, że Polska to był taki piękny kraj...

Potem babcia była w Polsce w latach siedemdziesiątych i miała beznadziejne doświadczenie w porównaniu do tego, co jej tato opowiadał. Bo ta wolna II RP z jego opowiadań zmieniła się w „szarą Polskę” w komunie. Ona bardzo to przeżywała: gdy poszła do Hawelki, obsługa była strasznie niemila, obrusy brudne. To nie było to, czego chciała. Więc chyba też dlatego w mojej rodzinie nie było kultu Polski.

Pochodzę z rodziny zasymilowanych Żydów, więc priorytetem była dla nas edukacja. Ale polskości czy żydowskości jako takiej w domu nie było. Oczywiście były elementy, które teraz widzę, że są polskie; trudno mi punktować, które dokładnie, ale czuję, że nie przeżyłem takiego szoku kulturowego. Kiedy tu przyjechałem, nieświadomie wiedziałem, że coś takiego znam z domu.

Ale jak to jest: czy czujesz, że przenosisz się tu jak do innego świata? Czy dla kogoś, kto z Ameryki Łacińskiej przyjeżdża do Polski – to jest jak przyjazd do innej rzeczywistości?

Jest to przyjazd do innej rzeczywistości. W moim przypadku było trochę inaczej, bo moja rodzina jest polsko-brazylijska, ale też bardzo międzynarodowa. Moja babcia mieszkała przez parę miesięcy w Paryżu, w Londynie, w Nowym Jorku; mój tata mieszkał w Holandii, ja sam spędziłem trochę czasu w Stanach. Ogólnie u nas w rodzinie to doświadczenie zagraniczne było bardzo obecne. Mój tata mówi po holendersku, po angielsku, trochę po niemiecku.

Ty sam też znasz kilka języków...

Tak. Zresztą zanim przyjechałem do Polski, byłem już wcześniej w Europie, w Stanach i w Argentynie. A sam przyjazd do Europy... oczywiście jest w tym dla nas zawsze coś dziwnego. Tym bardziej dla osoby, która nigdy nie była za granicą, każda rzecz może wywoływać zdumienie. Jak oni to dziwnie robią, jak oni dziwnie jedzą!

Gdzie dostrzegasz największe różnice kulturowe?

Dla Latynosów to na pewno będzie kwestia jedzenia i pogody. Powiedziałbym, że to jest największy szok. I nawet nie chodzi o to, że jedzenie brazylijskie jest najlepsze na świecie – chociaż jest! – ale raczej chodzi o kwestię składników. Jak ludzie są przyzwyczajeni od poniedziałku do niedzieli mieć dostęp do pewnego składnika, to gdy się przyjeżdża do kraju, gdzie jest on droższy lub trudno dostępny, to zaczynasz odczuwać różnicę. Prosty przykład: ja kocham czarną fasolę. Robię jej w szybkowarze tyle, żeby

starczyło na dwa tygodnie, i jem ją codziennie na obiad. I Polacy pytają: naprawdę możesz jeść fasolę codziennie? Tak, mogę. Bo to jest przyzwyczajenie Brazylijczyka. Jakbym zapytał Polaka, czy może jeść bigos i schabowego, to też by mógł.

Komuś z Meksyku może brakować tu konkretnych przypraw. No a w sklepie „Kuchnie świata” ceny są zabójcze. Ja tego aż tak nie przeżywałem, ale myślę, że dla Latynosów i pewnie też dla ludzi z Afryki czy z Azji to może być wyraźna różnica.

Czyli różnica kulturowa może mieć konkretny smak?

Tak! No i pogoda. Mnie tutejsza pogoda nie przeszkadza, bo nie lubię ciepła, więc przez pierwsze zimy w Polsce byłem zachwycony.

Co jeszcze może wywoływać dyskomfort?

Latynosi są przede wszystkim bardzo rodzinni. Ja mam to szczęście, że moi rodzice przyjeżdżają w odwiedziny, moja babcia mieszka teraz w Krakowie, więc byliśmy zawsze razem. A teraz jest w Polsce coraz więcej Latynosów, którzy może i dobrze zarabiają, ale ich rodzice nie mają takiego doświadczenia zagranicznego, więc zazwyczaj to oni jadą do siebie, do domu.

Jest daleko.

No, jest daleko i droga podróż.

Czy te silne więzi rodzinne – potrzeba kontaktu z rodzicami i bliskimi – przekładają się na potrzebę utrzymywania bliskich relacji z innymi ludźmi?

Fakt, że przyjechałem z Brazylii, nie oznacza, że muszę się kumplować z Brazylijczykami. Mogę, ale nie muszę. Przyjechałem do Polski, więc jednak chciałbym poznać Polaków, prawda? Często się mówi o Polakach, którzy mieszkają w Anglii, że trzymają się tylko ze swoimi; to samo można powiedzieć o Ukraińcach, którzy trzymają się tylko z Ukraińcami. To zjawisko jest bardzo popularne w każdym społeczeństwie.

Po prostu jest taka sfera doświadczeń, które się dzieli tylko z rodakami: wspólne dzieciństwo, co się oglądało w telewizji. Kiedy moi polscy znajomi mówią: „A pamiętasz, jak byliśmy w liceum...?” – ja już jestem wykluczony z tej rozmowy. Fajnie się słucha, ale ja nie dam swojego wkładu, bo dzieciństwo spędziłem w Brazylii. Albo jak wspominają piwo Komandos – no to ja go nie piłem, prawda? A oni wszyscy pili komandosy na wagarach. I wiesz, ktoś inny z tego samego pokolenia może do tego nawiązać, ja – nie. To jest bardzo kulturowe.

Więc ten kontakt ze swoim otoczeniem, nie tylko z rodziną; słuchanie muzyki ze swojego kraju – konkretnego pokolenia, co wtedy było na topie – to są wszystko ważne wspomnienia.

Nawet jeśli jesteś już „tubylcem”, potrzebujesz czasem poczuć, że jesteś tam, w domu?

Tak. Jak u siebie w domu. Ważna jest też przynależność do pewnego pokolenia.

Gdy mowa o wielokulturowości, często myśli się o tym, żeby pokazywać kultury różnych krajów po to, żeby mogli ją poznać tutejsi mieszkańcy. Natomiast z tego, co mówisz, wynika, że trzeba by było dużą uwagę zwrócić również na to, żeby takie wydarzenia były okazją do pobycia ze sobą, pogadania, powspominania, wypicia piwa.

Dokładnie tak.

Wracamy tu do mojej wizji, dlaczego ja to wszystko robię. Chodzi mi o to, żeby nie było tak: o, patrzcie, to jest grupa tańca z Brazylii, oglądamy jej występ i wychodzimy, tylko żeby też ci Brazylijczycy, którzy tutaj są, mogli i chcieli trochę sami siebie pokazać. Siebie i swoją kulturę. Bo między Polską i Ameryką Łacińską są znane głównie stereotypy. Nieraz słyszałem, że Argentyna to tylko tango...

No jeszcze piłka nożna!

Otóż to! No więc jak ja mogę mieć pretensje o to, że ludzie znają mój kraj tylko przez stereotypy, skoro ja sam nie wychodzę i nie mówię: „Słuchajcie, ale w Brazylii jest trochę więcej”. No jest karnawał, jest piłka nożna, ale też zobacz, moja żona z północy zupełnie inaczej je acai niż u mnie w Sao Paulo. W Polsce brazylijskie jagody acai są najczęściej podawane z jogurtem, na słodko. Oni na północy tak tego nie jedzą – oni to jedzą na słono, z mięsem.

A o Polakach z kolei krąży niestety takie stereotypowe wyobrażenie, że się nie uśmiechają, wódkę piją... Dlatego trzeba mówić o tym, co tutaj jest ciekawego.

A co tutaj jest ciekawego?

Choćby właśnie historia. Dlaczego nie mówimy o Komisji Edukacji Narodowej? To oczywiście zależy od kontekstu, ale czasami warto mówić rzeczy tego typu. Kiedyś w Ekwadorze zadałem pytanie: „Jaka była druga na świecie konstytucja po Stanach Zjednoczonych?”. I zgadywali: Francja, Anglia, a ja mówię: „Nie, Polska”. Wow!

To trochę przełamuje tę dziwność, że Polska jest nie wiadomo gdzie i nie wiadomo, co tam się robi. No i na odwrót. Czasem warto przytoczyć takie rzeczy po to, żeby łamać te stereotypy.

Rozumiem, że jeśli przyjeżdżasz tu, żeby studiować historię, to dość dobrze poznasz i historię, i kulturę, mentalność, literaturę, sztukę, no ale pewnie jesteś w mniejszości. Bo większość ludzi przyjeżdża tu do pracy, a jeśli na studia, to studiuje coś innego. No i właśnie – co wtedy? Czy można żyć w Polsce, przyjechać tu

Przede wszystkim musimy być świadomi, że kultura to jest to, co tworzymy razem. Instytucje kultury mogą tworzyć wydarzenia wspierające dialog [...]

i nie znać jej historii? Technicznie na pewno tak. Ale czy pokazywanie historii daje coś ludziom, którzy tu przyjeżdżają, żeby się poczuli tutaj bardziej jak u siebie?

To jest ciekawe pytanie. Na pewno Polska, przynajmniej odkąd tutaj mieszkam, bardzo biernie do tego podchodzi. Z jednej strony to jest fajne, że Polacy dużo wiedzą o historii Polski. Niestety w ostatnich latach tak się stało, że nie mówimy o Polsce jako kraju wielokulturowym, jakim kiedyś był. Fajnie by było tę historię pokazywać.

Oczywiście, decydując się na migrację, raczej nikt nie kieruje się historią – „A patrz! Przeprowadzę się do Szwajcarii, bo ma fajną historię” – tylko po prostu w Szwajcarii się super zarabia, nie? Myślę jednak, że Polacy, biernie traktując tę kwestię wielokulturową, tracą ogromną szansę. Wspomnieliśmy na początku rozmowy o pozytywnym aspekcie polskiej rzeczywistości – że nie tworzą się tu kulturowe czy językowe getta. Jednak brakuje zachęty do angażowania się. Chodzi o to, żeby pokazać, że obcokrajowcy też mogą tworzyć coś ciekawego w tym kraju.

Poprzez odwołania do historycznej wielokulturowości?

Tak. Dla osoby, która nic o Polsce nie wie, to może być ważny punkt odniesienia.

Oczywiście ten przekaz trzeba dostosować do odbiorcy, ale dla tych, którzy tu przyjeżdżają, warto by było rzeczywiście dać takie uczucie, że mogą trochę więcej... Nie każde społeczeństwo tak ma, że instytucje kultury czy niezależne organizacje są otwarte, że jesteśmy w tym wszyscy razem, nie? Dlatego uważam, że to jest bardzo dobrze, że w Urzędzie Miasta Krakowa pracuje Brazylijczyk. To też pokazuje autentyczność na różnych szczeblach, że wielokulturowość zaczyna pojawiać się w różnych sferach.

Widać tu pewną pułapkę w słowie „kultura”. Bo niejako automatycznie myślimy o muzyce, teatrze, filmach, językach, a mniej skupiamy się na tym, że wielokulturowość oznaczałaby, że mamy reprezentacje różnych kultur w rozmaitych sferach życia. Jak tę rzeczywistość przekształcać, jak wspierać takie procesy, które sprawią, że będziemy równi?

Przede wszystkim musimy być świadomi, że kultura to jest to, co tworzymy razem. Instytucje kultury mogą tworzyć wydarzenia wspierające dialog – właśnie tego trochę brakuje. Na przykład wiem o grupie Brazylijczyków, którzy spotykają się co miesiąc w innym miejscu, żeby razem czytać książki i o nich rozmawiać. To przecież mogłaby być świetna rzecz dla bibliotek: raz w miesiącu udostępniamy salę Brazylijczykom.

Oczywiście, trzeba doprowadzić do tego, żeby Brazylijczycy w ogóle wiedzieli, że jest taka Biblioteka Kraków i że coś tam można robić. Bo u nas w Brazylii instytucja to jest takie coś bardzo na dystans – jak do nich pisać? Czy ktoś w ogóle odpowie? Ale odkąd

pracuję w Urzędzie Miasta, widzę, że wiele krakowskich instytucji jest otwartych na inicjatywy z zewnątrz, wy też – jak ktoś przyjdzie i mówi: słuchajcie, mam ciekawy pomysł, to się często go bierze.

Rzeczywiście, warto zadbać o skracanie dystansu między instytucjami a mieszkańcami miasta. Dotyczy to szczególnie migrantów, którzy nie bardzo się potrafią odnaleźć w tutejszych relacjach; kontakt z instytucją kultury może stanowić zbyt wysoki próg wejścia, onieśmielać. Czy jest tu jakaś wskazówka, której mógłbyś nam udzielić? Na przykład: wyszukujcie nieformalne grupy i inicjatywy i zachęcajcie je do współdziałania? Nie czekajcie, aż do was przyjdą, bo jest zbyt duży dystans?

Tak, ale najlepiej korzystać z ambasadorów.

Z ambasadorów? To dopiero jest dystans!

Nie! Mam na myśli takich oddolnych ambasadorów. Przedstawiceli różnych środowisk.

Gdy pracowałem w Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, zajmowaliśmy się między innymi wyjaśnianiem i opowiadaniem o tym, jak tu jest, i zachęcaliśmy do angażowania się w działania. Ale to musi być wzajemne: trzeba też dowiadywać się, jak tę naszą rzeczywistość postrzegają nowe osoby, co jest dla nich zrozumiałe, a co nie.

Potrzebni są ambasadorzy-łącznicy?

Właśnie tak. Kto wie na przykład, jakie są zmartwienia Ukraińców, którzy przyjeżdżają do Krakowa? Oni sami. A jakie są zmartwienia Brazylijczyka, to raczej ja będę wiedział. I z nimi trzeba współpracować, mówić im, na co instytucje kultury są otwarte, uczyć ich opisywać konkrety, jeśli chcą zrobić jakieś swoje wydarzenie. Żeby umieli się dobrze komunikować: chcesz zrobić to i to, pisz do takiej a takiej instytucji.

Ale jak rozumiem, przydałyby się też jakieś sieciujące spotkania, na których można by sobie przyjść i pogadać z instytucjami?

Nie wiem, czy to jest aż tak konieczne. Ale to jest dobre pytanie – trzeba by było zobaczyć, co by z tego wyszło w praniu. Nie wiem, czy takie spotkanie informacyjne nie będzie się kojarzyć z czymś nudnym...

Nie myślałam o spotkaniu informacyjnym, tylko takich bardziej nieformalnych kontaktach: jak już znam jakąś jedną czy dwie osoby w danej instytucji, to mam kogoś, do kogo mogę zadzwonić i zapytać, do kogo mogę pójść z moim pomysłem.

OK. Myślałem, że chodzi ci o coś takiego, że w piątek odbędzie się w MIK-u spotkanie, przyjdź i porozmawiaj. No to myślę, że z perspektywy takiego Brazylijczyka pojawi się

raczej wątpliwość: i co, pójdę tam z kimś rozmawiać i pewnie i tak nic z tego nie wyniknie. Wolalbym tak: „Hej, chcesz przyjść na rozmowę w cztery oczy? Pokażemy ci, jaką jesteśmy instytucją, co robimy, jakie mamy możliwości”. I wtedy może się pojawić reakcja: „Kurczę, ale fajnie, pójdę!”.

Czyli trzeba dbać o różne kontakty nieformalne, osobiste.

Zdecydowanie. Networking i nieformalne kontakty. Wspólne jedzenie, muzyka też mają taki wpływ...

Skoro już wspomniałeś o muzyce: czy w polskiej fonosferze coś może być dla obcokrajowca szczególnie interesujące?

Nie znam aż tak bardzo polskiej sceny muzycznej, ale na przykład bardzo lubię Kapełę Ze Wsi Warszawa. Ma taką słowiańską duszę.

Polski rock nie trafia do mnie, bo generalnie rock w latach osiemdziesiątych był bardzo mocno osadzony w kulturze poszczególnych krajów, ważne są w nim te elementy lokalne. Ponieważ nie jestem tutaj od dzieciństwa – niektóre piosenki kojarzę, ale nazw zespołów nie wymienię. Trudno, żebym się z tym utożsamiał, ale po prostu rozumiem, czym to jest dla ciebie. Rozumiem, jakie to ma znaczenie kulturowe.

Trudno też powiedzieć, co to jest brazylijska muzyka, bo mamy od Południa do Północy różne tradycje muzyczne, ale niektóre dźwięki po prostu trafiają mi do serca. Polskie mniej, ale nie dlatego, że są gorsze, tylko dlatego, że przez pierwsze osiemnaście lat miałem kontakt z czym innym. Bo muzyka i jedzenie to też w dużym stopniu kwestia pamięci. Co mama śpiewała, czy co mama gotowała. Nawet jest takie powiedzenie: jak u mamy.

Podczas konferencji *Razem poprzez kulturę* Mamadou Diouf zaprezentował nam wielokulturowe wykonanie piosenki Czesława Niemena *Sen o Warszawie*. Interpretacja tego utworu przez różnokulturowych mieszkańców Warszawy zrobiła na nas duże wrażenie.

To jest jedna z najpiękniejszych interpretacji tej piosenki.

Warszawiacy o różnym pochodzeniu odnaleźli się w jej przesłaniu, bo to piosenka o „mojej Warszawie”, mieście, z którym się identyfikują. W kontekście wielokulturowości często myślimy o tym, żeby prezentować rozmaite kultury, ale ważny jest też odwrotny proces – interpretowanie tego, co polskie. Dostrzeżenie czegoś fascynującego – żeby pokazać po swojemu, przetworzyć.

Trzeba się spotykać w pół drogi. Ze spotkania kultur rodzi się coś nowego.

Polskie i wielokulturowe jednocześnie?

Tak. Ważne jest przyswajanie sobie tego, co tu jest na miejscu.

To dotyczy również języka?

Myślę, że tak. Pamiętasz, jak Mamadou powiedział, że jak jesteś w Polsce przez dłuższy czas, to może jednak byś się tego polskiego nauczył? To jest fajne podejście.

Ze mną jest trochę inaczej, bo ja tu przyjechałem na studia. Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś tu przyjeżdża do pracy w korporacji, gdzie używa się angielskiego, i jeszcze ma małe dzieci na przykład – i po pół roku czyta Mickiewicza. Ale nauka języka to jest jednak szanowanie tego kraju.

Nie wszyscy nowi mieszkańcy uczą się języka polskiego. Niektórym się to nie opłaca, bo przyjechali tu na krótko albo funkcjonują w międzynarodowych kręgach – tym naturalnym językiem jest dla nich angielski. Są też osoby, które mają problem z nauczeniem się języka, po prostu nie są w tym kierunku uzdolnione. Co z tym robić? Jakimi językami posługiwać się w komunikacji z różnokulturowymi mieszkańcami miasta? Ratować się angielskim?

Na pewno trzeba poszerzać dostępność informacji w różnych językach. Ale od dłuższego czasu zastanawiam się nad angielskim. Póki co jest to dość uniwersalny język...

Nie mam odpowiedzi na to pytanie. Ale wyraźnie wyczuwam specyficzną perspektywę osób anglojęzycznych. Czuję, że jest takie ogólne założenie, że cały świat posługuje się naszym językiem. I gdy zdarzy się taki moment, w którym z powodów językowych nie jesteśmy w stanie swobodnie dyskutować, pojawia się oczekiwanie, żeby przejść na angielski, bo wtedy będzie łatwiej. I to też jest trochę wykluczające.

Na pewno w międzynarodowej komunikacji posługiwanie się językiem angielskim jest bardzo wygodne. Ale w jakim języku prowadzić spotkania, warsztaty?

Gdy mówimy o wielokulturowości, to z jednej strony angielski jest wygodny, ale z drugiej strony nie każdy czuje się w nim swobodnie. I językiem urzędowym tego kraju jest jednak język polski. Mam mieszane uczucia.

Jeśli wiemy, kogo zapraszamy na spotkanie, warto szukać jakiegoś innego języka, który będzie wspólnym mianownikiem?

Trudność polega na tym, żeby nie wpaść w taką pułapkę, że zawsze będzie ktoś, kto mówi w jakimś innym języku niż wszyscy pozostali. To jest temat do wspólnego opracowania. Na pewno przyjazne nastawienie ludzi bardzo tu pomaga.

Czyli konkluzja jest taka, żeby po prostu pomagać ludziom nauczyć się tego naszego trudnego w końcu języka – dla Polaków też! – i tworzyć takie warunki, żeby mieli gdzie rozmawiać, praktykować?

Ale też nie na zasadzie, że jesteś w Polsce, to musisz mówić po polsku; tylko – zobacz, że język polski jest bardzo ciekawy.

Stąd wzięła się twoja inicjatywa stworzenia Muzeum Języka Polskiego?

Chciałbym, żeby takie muzeum powstało, bo uważam, że język polski jest pięknym językiem – skomplikowanym, trudnym, ale pięknym. I warto by było w ten sposób go dowartościować. Trudno mówić, że Polska nie jest krajem wielokulturowym, skoro mamy tyle wyrazów z innych języków: z niemieckiego, włoskiego, francuskiego, rosyjskiego, czeskiego. Trudno o tym nie mówić – z nadzieją, że Polska będzie znowu prawdziwa, czyli wielokulturowa.

**BÓG DAŁ
NAM ROZUM,
ŻEBYŚMY SIĘ
ZASTANAWIALI**

**rozmowa z imamem
Adamem Wajeehem
Abdelem Fattahem**

ELŻBIETA KAPROŃ: Przygotowując się do rozmowy z tobą, zastanawiałam się, co ja właściwie wiem o islamie. Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, jest taka: jakimi ignorantami religijnymi jesteśmy w Polsce! Nie uczymy się o innych religiach; jeśli już coś wiemy, to na temat naszej własnej. Czy podobną postawę można spotkać w społeczności muzułmańskiej?

ADAM WAJEEH ABDEL FATTAH: Oczywiście, że tak!

Wstydę się swojej ignorancji, ale tym bardziej jestem zmotywowana, żeby dowiedzieć się przynajmniej podstawowych rzeczy o islamie i o tym, co znaczy być muzułmaninem w Polsce.

Śmiało, możemy rozmawiać o wszystkim. Zauważyłaś już chyba, że jest mnie trudno czymś urazić, możesz pytać o wszystko.

To może zacznijmy od ludzkiej strony. Kim są muzułmanki i muzułmanie w Krakowie?

Gdybyśmy wzięli pod uwagę całą Polskę, to można społeczność muzułmańską podzielić – w dużym uproszczeniu oczywiście – na trzy grupy: polskich Tatarów, imigrantów z krajów islamskich oraz polskich konwertytów. Przy czym w Krakowie akurat polskich Tatarów właściwie nie ma, oni trzymają się głównie północnych i północno-wschodnich regionów.

Kiedy przyjechałem tutaj – bo ja nie jestem krakusem, tylko lubelakiem – największym wyzwaniem było dla mnie to, że zobaczyłem bardzo duży miszmasz kulturowy. Nie byłem na to gotowy, bo zazwyczaj w danym mieście mieliśmy około 20–30% konwertytów, a druga część to byli ludzie, którzy wyemigrowali kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu z krajów arabskich. Natomiast teraz przepływ ludzi bardzo się zwiększył, więc mimo że liczba polskich konwertytów rośnie, ich procentowy udział się zmniejsza. Podobnie jest z Arabami – procentowo jest ich jeszcze mniej, a mamy dużo więcej osób z Indii, z Pakistanu, Uzbekistanu, Tadżykistanu. Ja sam jestem pół-Polakiem, pół-Palestyńczykiem. To jest dla nas wyzwanie: duże różnice kulturowe, obyczajowe, językowe.

Czyli można mówić o wielokulturowości w obrębie samej społeczności muzułmańskiej?

Tak. Ja prowadzę chutby, czyli piątkowe kazania, w trzech językach: polskim, arabskim i angielskim. Natomiast już widzę, że to jest niewystarczające. Potrzebowałbym osoby, która by tłumaczyła na przykład na język rosyjski, bo mamy mnóstwo osób z byłych krajów Związku Radzieckiego i żaden z tych trzech języków nie jest dla nich wystarczający.

Dla nas ruchy migracyjne również są wyzwaniem. Patrzymy na nie w sposób pozytywny, bo wiemy, że ludzie przyjeżdżają tu do pracy, żeby poprawić swoje warunki bytowe. Jesteśmy na nich otwarci. Natomiast musimy zrestrukturyzować swoje działania, zastanowić się, jak rozmawiać z tymi ludźmi, jak dotrzeć do nich, zrozumieć ich problemy.

Na czym dokładnie polega problem językowy? Czy językiem modlitwy nie jest język arabski? Czy można być muzułmaninem, nie znając tego języka?

Islam nie jest religią arabską, to religia dla wszystkich. Bardzo często się to ludziom myli, mimo że Arabowie stanowią obecnie niecałe 20% wszystkich muzułmanów na świecie.

Jedynym elementem arabskim powiązanim z islamem jest Koran. Koran został napisany w języku arabskim, a o jego przekładach zawsze mówimy, że to nie jest Koran, tylko tłumaczenie Koranu według tego czy tego autora.

Żeby być muzułmaninem, nie trzeba się uczyć języka arabskiego, ale warto znać tłumaczenie niektórych sur, czyli rozdziałów z Koranu. Obowiązkową modlitwą jest recytacja sury otwierającej – i ta cała modlitwa odbywa się w języku arabskim. Polak-konwertyta może ją nawet czytać z książeczki z transkrypcją, chociaż oczywiście musi rozumieć, co czyta – żeby to nie było zwykłe wyśpiewywanie głosek. Od tego właśnie są tłumaczenia. Również kiedy muzułmanie modlą się w domu – bo mamy obowiązkową modlitwę pięć razy dziennie – muszą się modlić w języku arabskim. Natomiast kazania odbywają się w językach lokalnych.

Czy to oznacza, że osoby władające danym językiem mogą sobie wybrać, na które z kazań przyjdą?

Nie! Modlitwa to jest krótki obrzęd i kazania staramy się również robić krótkie i na temat. Całe moje kazanie najpierw mówię w języku arabskim, później w języku polskim i w języku angielskim. W sumie trwa ono niecałe 30 minut.

Skoro wiesz, w jakich językach mówią twoi wierni, to czy jest to wspólnota, w której ludzie się znają?

Oczywiście im mniejsza społeczność, tym lepiej ludzie się znają. Zależy nam na tym, żeby te więzi powstawały, bo chcemy pomagać ludziom. Ale nie znam każdego z osobna, nie znam nawet większości osób, które przychodzą do meczetu, bo najczęściej widuję ich tylko w piątki, w czasie modlitwy. Ale są i takie osoby, które dają znać, że mają jakieś potrzeby.

Chcielibyśmy, żeby ludzie znali się między sobą i mogli sobie wzajemnie pomagać. W naszym Centrum Kultury Islamu przy ulicy Groszkowej mamy pomieszczenie, do

którego każdy – i to nie tylko muzułmanin – może wejść o jakiegokolwiek porze i wziąć sobie potrzebne produkty spożywcze, środki higieny, czystości. Dbają o to bardziej zamożni muzułmanie z krakowskiej społeczności. Widzę, że ta potrzeba jest, bo ludzie przychodzą.

Natomiast wiadomo, że im większa społeczność, tym bardziej ludzie będą się dzielić na grupki znajomych, bo mają różne zainteresowania, są w różnym wieku. I przez to też, że mamy te różne kultury, trudniej jest się ze sobą dogadywać. Dlatego każdemu, kto przyjeżdża do Polski i wiąże z nią swoją przyszłość, mówię, że musi się nauczyć języka polskiego. Tłumaczę, że dla nich język polski jest ważniejszy niż język arabski, ponieważ będą tu mieli przyjaciół, będą na rynku pracy. To nie obywatele Polski muszą się dostosowywać do języka rosyjskiego, arabskiego, chińskiego, tylko my – skoro jesteśmy tutaj, to łatwiej będzie nam się jednak na tym jednym języku skoncentrować. Również z szacunku do kraju, w którym się jest. I gdybyśmy wszyscy znali ten jeden język, to bardzo by nam ułatwiło komunikację między sobą. Brak wspólnego języka utrudnia nam również mocniejsze związanie się ze sobą.

Wyobrażam sobie, że dla nowo przybyłych muzułmańskich migrantów czymś naturalnym jest wyszukiwanie na mapie Krakowa meczetu czy Centrum Kultury Islamu – miejsca modlitwy, ale i spotkań. Czy jest sens, żeby szukać wiedzy o migrantach i kontaktów z nimi poprzez wspólnoty muzułmańskie?

Z rozmów z przedstawicielami władz miejskich wiem, że szacują oni – przy czym dotyczy to nie stałych mieszkańców Krakowa, tylko w większości studentów – że muzułmanów w Krakowie jest między 6 a 10 tysięcy. Natomiast liczba osób modlących się w naszych dwóch centrach, na Groszkowej i na Sobieskiego, to jest w sumie około 300 osób. Więc wydaje mi się, że oczywiście są ludzie, którzy po przyjeździe wpisują w Google Maps meczet albo Centrum Kultury Islamu, ale przyjeżdżają też osoby młode, które pewnie raczej googlują sobie najlepszy klub w mieście albo jakieś inne, bardziej rozrywkowe miejsca. Jednak zawsze, gdy pojawiają się nowe osoby, staramy się pytać: „Jak do nas trafiłeś, czy od kogoś usłyszałeś, czy może sam szukałeś?”. I najczęściej okazuje się, że oni przyjeżdżają do Polski, znając już kogoś, kto tu jest, i to od tej osoby dowiedzieli się o naszych dwóch centrach. Więc to działa raczej na zasadzie poczty pantoflowej.

Wróćmy jeszcze do kwestii różnic kulturowych. Czy dobrze rozumiem, że skoro islam jest religią uniwersalną i każdy może go wyznawać, to różnice między muzułmanami wynikają raczej z kultury kraju, z którego przyjeżdżają, a nie jest to jakaś „wersja” islamu?

Islam jest dla wszystkich i każdy może go wyznawać. Również jeśli ktoś chce odejść, może to zrobić – to nie jest jakaś zamknięta bańka, do której można tylko wejść i utknąć się jak w jakimś limbo. Natomiast problemem jest właśnie niezrozumienie islamu.

O ile sam kocham różne kultury, to nie do zaakceptowania jest to, że ktoś swoją kulturę albo naleciałości kulturowe łączy ściśle z islamem, bo z tego wynikają patologie. Często się słyszy w mediach, że w różnych krajach dochodzi do przemocy czy nawet zbrodni, których sprawcy wykrzykują, że zrobili to w imię Boga czy w imię islamu... To jest przecież całkowicie sprzeczne z nauką islamu! Jak ktoś otworzy Koran czy hadisy, nigdzie czegoś takiego nie znajdzie.

Natomiast w niektórych krajach dochodzi do czegoś takiego i wynika to właśnie z braku wiedzy i z naleciałości kulturowych. Najczęściej są to społeczeństwa mniej wyedukowane, bardzo proste, żyjące w jakiejś swojej bańce kulturowej. Do nich jest bardzo trudno dotrzeć. Takich osób w Europie jest mało, bo im jest trudno nawet wyjechać ze swojego kraju. Ale gdy się tu pojawiają, to często jest im trudno zrozumieć, że to, czego my uczymy, to nie jest jakieś wypaczenie islamu, tylko to jest ten prawdziwy islam – islam środka. Im się to nie zazębia i często mówią, że my, jako imamowie związani z Ligą Muzułmańską, uczymy islamu liberalnego. Nie, to jest islam z Koranu i z *Sunny*, czyli z tradycji Proroka.

Nie ma islamu europejskiego, arabskiego, pakistańskiego czy hinduskiego. Islam jest jeden. Zasady są te same, tylko niestety pojawiają się naleciałości kulturowe. Ludzie często przyjmują złe wzorce swoich krajów, liderów politycznych czy duchowych, których chcą naśladować. To powoduje problemy.

Czy muzułmanie mają obowiązek słuchać swojego imama?

Zawsze staram się uczyć ludzi, żeby tego, co usłyszeli z mojego kazania, nie brali za prawdę ostateczną, tylko żeby sprawdzali, żeby się uczyli, żeby każdy używał własnego rozumu. Zwłaszcza, że Bóg nie mówi w Koranie „postępujcie za imamami”, tylko mówi, że dał nam rozum, żebyśmy się zastanawiali. Rozumowanie to jest coś, co odróżnia nas od zwierząt. Każdy może wyciągać jakieś wnioski, edukować się i rozwijać. Ja też jestem omylny. Mam dobre intencje, ale mogę się pomylić.

Zawsze tłumaczę braciom i siostram, że jeśli mówimy, że nasi prorocy – Adam, Mojżesz, Jezus, Prorok Muhammad – byli pasterzami, to nie znaczy, że wierni mają być baranami [śmiech]. Nasi prorocy byli wybrańcami Boga, mieli perfekcyjną wiedzę, jeżeli chodzi o sprawy religijne, natomiast mogli nie wiedzieć czegoś innego. I tu był dialog między prorokiem a wiernymi. Tak wygląda nasza religia. Nie może być tak, że to, co powie imam, staje się prawdą ostateczną.

Kim jest imam? Jaką pełni funkcję?

Samo słowo „imam” oznacza „lidera”. Imam, poza prowadzeniem modlitwy albo posiadaniem jakiejś większej wiedzy w niektórych dziedzinach – bo są przecież osoby, które są bardziej wykształcone od nas w innych dziedzinach – nie różni się niczym od innego wiernego. Powinien dawać swoim zachowaniem dobry przykład. Natomiast nie ma hierarchii, zgodnie z którą imam jest dużo wyżej niż reszta wiernych.

Ja nie jestem nieomylny, staram się uczyć każdego dnia. Ale oczywiście bycie imamem daje w oczach ludzi pewien prestiż. Trzeba pamiętać, że za taką pozycją idzie duża odpowiedzialność. Mogą trafić się osoby w sercu bardzo dobre i czyste, ale proste, którymi łatwo manipulować. I to się zdarza w każdej religii. Bardzo łatwo manipulować osobami, które nie myślą samodzielnie.

A ja z tym chcę walczyć, bo kocham wolność słowa. Zawsze, nawet gdyby ktoś miał się na mnie obrazić, wolę usłyszeć, co ma do powiedzenia, i mu odpowiedzieć, niż żeby ktoś mnie „cancelował”, a potem ja „canceluję” jego. To nie o to chodzi. Chcę, żeby nasza społeczność była progresywna, żeby wchodzili w dyskusję, żeby się zastanawiali, żeby nie byli po prostu narzędziami w czyichś rękach. Życzę tego każdemu, nie tylko muzułmanom, ale każdemu człowiekowi, żeby używał szarych komórek. Naszym Panem oczywiście jest Bóg, ale tutaj na ziemi każdy ma być panem swojego własnego losu, a nie czyjąś marionetką.

Chciałabym cię jeszcze dopytać o naleciałości kulturowe. Islam jest religią uniwersalną, jednak kojarzy nam się tu w Polsce głównie z orientalnymi motywami muzycznymi i wizualnymi. Charakterystyczne śpiewy, minarety... Jest to ciekawe, ale też obce, inne. Naszą wiedzę lub wyobrażenie o kulturach Bliskiego Wschodu przekładamy na sam islam. Tymczasem te wszystkie elementy, które wymieniłam, nie są istotą islamu, prawda?

Tak. Poza *azanem*, czyli nawoływaniem do modlitwy. To może być rzeczywiście atrakcyjne, jeżeli muezzin ma ładny głos. Natomiast islam opiera się przede wszystkim na sześciu filarach wiary i pięciu filarach islamu.

Chyba częściej słyszymy o pięciu filarach... Uporządkujmy tę podstawową wiedzę.

Filary wiary są nawet ważniejsze niż filary islamu, bo definiują, czy ktoś jest muzułmaninem, czy nie.

Filary wiary to przede wszystkim wiara w to, że nie ma Boga oprócz Boga Jedyne. Dalej jest wiara w aniołów, w księgi objawione, czyli w Torę, Ewangelie, Koran, psalmy itd. Przy czym islam naucza, że Koran jest tym ostatecznym objawieniem, którego człowiek nie może zmienić. I rzeczywiście, pierwowzór z czasów proroka Muhammada

można obejrzyć w muzeum w Istambule, i każdy Koran w każdym meczecie na świecie jest kropka w kropkę taki sam. Nawet gdy recytuję Koran podczas modlitwy i się pomylę, to z tyłu wierni mnie poprawiają. To jest nasz obowiązek, dbamy o ciągłość tej księgi.

Później idzie wiara w proroków, wiara w dzień Sądu Ostatecznego, którą dzielimy z chrześcijanami i żydami. I wiara w przeznaczenie, czyli że to, co nas spotyka, to nie jest jakiś przypadek. To jest plan Boży i to pomaga nam w trudnych chwilach, że tak powiem, troszeczkę dojsć do siebie.

A filary islamu to jest to, co muzułmanin i muzułmanka mają obowiązek robić, ale jeżeli tego nie robią, to nie znaczy, że nie są muzułmanami. Czyli wyznanie wiary, codzienna modlitwa, post w miesiącu ramadanu, dawanie jałmużny i pielgrzymka raz w życiu do Mekki, jeżeli ma się taką możliwość. Jeżeli ktoś tego nie robi, jest to po prostu liczone jako grzech. Natomiast jeżeli ktoś nie wierzy w któryś z filarów wiary, no to po prostu nie jest muzułmaninem.

Wskazałeś dokładnie, na czym to polega, że jest się muzułmaninem – lepiej czy gorzej praktykującym. Nie widzę tu żadnych specyficznych elementów kulturowych czy obyczajowych, które by wyróżniały islam, poza tym, że jest modlitwa obowiązkowa pięć razy dziennie. Co więc robić z kulturami, które przywożą ze sobą muzułmanie przyjeżdżający z różnych krajów?

W Krakowie to dopiero raczkuje, ale na przykład w Poznaniu mamy już dobrze rozwiniętą działalność kulturalną. Chcemy, żeby ludzie przyjeżdżający tu z różnych krajów wiedzieli, że kultura jest czymś pięknym i szanujemy ją, jednak nie jest ona częścią islamu i że jeżeli są jakieś złe elementy, to islam je ucina. Czyli na przykład są piękne stroje? – super! Są jakieś niemoralne zachowania – zabraniamy.

W Poznaniu są organizowane wieczory marokańskie czy jemeńskie, związane z kuchnią, ze strojem, z muzyką, z tańcem. Palestyńczycy często tańczą debkę – swój narodowy taniec. Staramy się, żeby każda z tych osób, które przyjeżdżają, jednak zachowała swoją kulturę.

Często największy problem mamy z konwertytami. Bo oni myślą, że przyjmując islam, muszą się zarabizować. I to jest bardzo duży problem. My chcemy właśnie, żeby to byli dumni polscy muzułmanie, mamy przecież piękną polską tradycję, słowiańską muzykę. A tu kobieta albo mężczyzna przyjmują islam i nagle chcą zmienić swoje imiona. Mają piękne polskie imiona, a chcą je zmienić na arabskie. To wynika również z braku wiedzy. Kiedy im tłumaczymy, że po co, na co?, odpowiadają, że chcą zacząć życie od nowa. No ale przecież imię jakoś nas definiuje, prawda?

Chcę, żeby nasza społeczność była progresywna, żeby wchodzili w dyskusję, żeby się zastanawiali, żeby nie byli po prostu narzędziami w czyichś rękach.

No tak, ale podobnie jest, gdy ktoś wstępuje do zakonu i przybiera imię świętego patrona.

Ale to jest zupełnie coś innego, gdy przybierasz imię patrona, a co innego, gdy ktoś wybiera dla siebie całkowicie nowe imię. Czyli ktoś się nazywał Karolina, a teraz nagle chce się nazywać na przykład Fatima.

Jesteśmy temu przeciwni, bo za czasów Proroka byli w jego społeczności ludzie z Etiopii, Persji, Rzymu i Prorok nigdy nie powiedział, że musisz zmienić imię na jakieś takie bardziej arabskie. Nie. Ludzie po prostu tej religii nie rozumieją i często uważają, że kulturą islamu jest kultura arabska. A to nieprawda. Kultura arabska ma wiele pięknych cech, ale ma również wiele cech, które są nefajne. I jeżeli ktoś przyjmie cały ten bagaż arabski, to przyjmuje często niestety również te złe cechy.

Ja jestem dumny ze swojego arabskiego pochodzenia, żeby nie było! Natomiast zdaję sobie sprawę z pewnych jego wad. Tak samo jak kocham tradycję polską, bo czuję się Polakiem, jednak zdaję sobie sprawę z niektórych złych cech, które są akurat w naszym narodzie, prawda? I uważam, że w tych aspektach słabych trzeba się poprawić, a te dobre trzeba pielęgnować. Nie wolno o nich zapominać.

I tak to wygląda, jeżeli chodzi o samą kulturę. My ją pielęgnujemy, pokazujemy, że to jest kultura różnych krajów muzułmańskich, że ona się różni, ale mimo wszystko łączy nas religia. I to jest nasz przekaz. Islam jest jeden. Nie ma islamu europejskiego, arabskiego, chińskiego, tak jak mówiłem wcześniej.

A te wieczory kulturowe są organizowane przez społeczność muzułmańską we współpracy z instytucjami kultury?

W Warszawie i w Poznaniu są noce świątyni, noce muzeów i inne tego typu eventy, i nasze centra współpracują przy ich organizacji z instytucjami kultury w tych miastach. Prowadzimy również Dni Chrześcijaństwa w meczetach. To taki siostrzany event dla Dni Islamu w Kościele katolickim. Zapraszamy wtedy do siebie i pokazujemy islam chrześcijanom, a chrześcijanie przedstawiają muzułmanom, jak wygląda religia chrześcijańska.

Bo tak jak mówiłaś na samym początku: to nie jest tak, że tylko chrześcijanie, ale my wszyscy jesteśmy analfabetami i ignorantami jeżeli chodzi o inne religie. Dostałem kiedyś od członkini naszej społeczności pytanie, czy może przeczytać Biblię. Powiedziałem: „Oczywiście, czemu nie? Bierzesz, kupujesz i czytasz”. A niektórzy się bardzo mocno oburzyli: „Jak to? Przecież mamy swoją Księgę”. Taki sposób myślenia to jest droga do tego, co kiedyś było: spis ksiąg zakazanych. Jak ktoś jest pewny swojej wiary, to czytanie świętych ksiąg innych religii nie powinno jej naruszyć, a wiedza zawsze jest bardzo ważna. Brak edukacji, brak poznania drugiej strony powoduje jedynie strach.

Zapraszam do naszego Centrum, mamy takie małe Koraniki przetłumaczone na język polski, można sobie wziąć i czytać. Koran jest też dostępny w wersji profesora Bielawskiego w internecie. Za darmo. No i nie ma tam nic takiego strasznego. Ale jak ktoś wpisuje sobie w wyszukiwarkę „islam, przemoc, kobiety, śmierć”, to wiadomo co mu tam wyskoczy.

Nawet jak się wpisze sam islam, to takie rzeczy wyskakują.

Tak, oczywiście. Jakiś fragment wersetu wyrwany i wrzucony w eter. I nikt nie zna ani kontekstu, ani nawet całego wersetu, prawda?

Koran potępia przemoc, jeśli mówi o walce, to jest to totalnie defensywne, czyli że masz prawo się bronić. Jak ktoś najeżdża – jak Rosja na Ukrainę – to my trzymamy kciuki zawsze za osoby, które się bronią. Jest taki werset w Koranie, w którym Bóg mówi: „Dozwolona jest wam walka, ale nie bądźcie najeźdźcami. Zaprawdę Bóg nie miłuje najeźdźców”. Mamy prawo się bronić, nigdy atakować! Ale niestety przez brak wiedzy, przez ignorancję, ludzie, którzy nie znają ani Biblii, ani Koranu, odnoszą się do nas w sposób nieprzychylny, często nawet nie chcą rozmawiać, bo mają światopogląd tak ugruntowany przez media, przez internet, że nie chcą nas poznać.

Jeżeli będę miała pytania do tego, co przeczytałam w Koranie, to czy mogę jako niemuzułmanka podejść do imama i zapytać?

Oczywiście!

Ja zawsze czekam na takie osoby i zawsze można zadać pytanie. Jeżeli znam odpowiedź, to postaram się wyjaśnić, o co chodzi w jakimś wersecie. Jak nie mam takiej wiedzy, dzwonię do osób mądrzejszych ode mnie i te osoby mi dają odpowiedź, a ja potem przekazuję ją tobie czy komukolwiek innemu zainteresowanemu islamem.

Nasze Centrum jest otwarte dla wszystkich. W każdą niedzielę od godziny 17.00 mamy zajęcia dla niemuzułmanów i niemuzułmanek. Można sobie przyjść, posiedzieć, posłuchać, zadawać pytania. Wszystkie! Powiedzmy, że ktoś przeczytał coś strasznego w internecie albo zobaczył coś strasznego w telewizji. Ja się nie obrażę, jak to usłyszę. Mam nadzieję, że uda mi się rozwiać wątpliwości co do takich przypadków, i oczywiście bardzo chętnie będę odpowiadał na wszystkie pytania i rozwiewał wątpliwości.

To, co mówisz o dialogu międzyreligijnym i o spotkaniach na poziomie kościołów i meczetów, wskazuje, że chrześcijaństwo i islam są sobie bliskie.

Oczywiście!

Jednak tworzą się takie „uskoki kulturowe” właśnie przez to, że islam trafia do nas z krajów Azji, Bliskiego Wschodu, to ta religia niechcący jakby staje się troszkę odległa. Na czym polegają podobieństwa?

Zawsze przypominam ludziom, że Jezus był Żydem, a Matka Boska wcale nie była z Częstochowy, tylko również była Żydówką. Więc te nasze religie wywodzą się z Bliskiego Wschodu.

To nie jest tak, że Bóg sobie umiłował tylko jeden naród albo jedno miejsce na ziemi – akurat się skupił na nim, bo podobała mu się kultura Bliskiego Wschodu. Nie, wszędzie była ta misja albo ta wiara w jednego Boga. Natomiast rzeczywiście, jak mówisz, ludzie często odbierają islam jako świat arabski. I to jest świat nam obcy, niestety. I to rzeczywiście buduje takie fałszywe mury i zaciera to, że mamy mnóstwo wspólnych elementów. Mówiliśmy już o filarach wiary. Więc pomyśl tak: gdybym nie wierzył w Jezusa, nie mógłbym być muzułmaninem, prawda? Islam to jest jedyna religia poza chrześcijaństwem, która definiuje bycie wiernym jako wiarę również w misję Jezusa.

Więc to są wspólne, wielkie, ważne elementy i na tym się koncentrujemy w dialogu międzyreligijnym, podczas Dni Islamu w Kościele katolickim czy podczas Dni Chrześcijaństwa w meczetach. To, że są różnice, jest oczywiste. Gdyby ich nie było, wyznalibyśmy tę samą religię. Natomiast żeby zapanował pokój, musimy się poznać i koncentrować się na tym, co nas łączy, a nie na tym, co nas dzieli. Bo inaczej niestety świat oszaleje jeszcze bardziej.

Wydaje mi się, że to jest zadanie do nadrobienia nie tylko przez kościoły – skoro one już to robią. Tylko może powinniśmy działać poprzez programy edukacyjne prowadzone we współpracy z instytucjami kultury. Bo jeśli uznamy, że Polacy na poziomie deklaracyjnym czy kulturowym są chrześcijanami, to bardzo przydatna będzie dla nas wiedza o tym, że islam jako religia jest nam dużo bliższy niż kultury krajów muzułmańskich.

Oczywiście!

I w tym sensie islam może być pomostem do poznawania kultur i do integrowania się z ludźmi, którzy przyjeżdżają tu z innych kultur, z krajów muzułmańskich.

Jestem i będę zawsze bardzo wdzięczny za całą pracę od wieków braci i sióstr Tatarów, którzy tutaj żyli. Tatarzy osiedli w Polsce i oddawali życie za ten kraj, rozbudowywali go, zachowali swoją religię i swoją kulturę, ale zintegrowali się całkowicie z Polakami. Czuli i czują się Polakami. Zawsze byli wierni Rzeczypospolitej. I to jest właśnie dobry przykład na pokazanie istoty islamu.

Najgorszym, co może nam się przytrafić, jest wpychanie ludzi do gett albo ich izolowanie. To buduje mury między ludźmi. My musimy pokazać, że islam buduje mosty porozumienia. Jest mnóstwo miejsca na rozmowę, na dialog i na wzajemne budowanie relacji.

Widzę tu materiał na co najmniej kilka projektów, które można by było realizować we współpracy z różnymi instytucjami kultury, żeby po prostu rozmawiać z ludźmi, wychodzić ze swoich baniek.

Tak, tak, oczywiście. Nie mamy żadnego problemu, żeby przyjść, porozmawiać, przedstawić swoją opinię, swoją religię. A jeżeli osiągniemy nawet taki sukces, że przestaniemy się siebie nawzajem bać, to już dla mnie będzie wystarczająco dużo.

No właśnie. Bo za naszymi słowami i czynami często stoi lęk. Takie mamy „ustawienia fabryczne”, że jeśli czegoś nie znamy, to się tego na wszelki wypadek boimy. Myślę, że trudno jest rozbijać istniejące negatywne stereotypy, ale możemy skupić się na tym, żeby budować dobre.

Tak. Budować przeciwwagę.

To jest nasz interes publiczny, żebyśmy nie bazowali na niewiedzy i nie produkowali lęków. To także szansa, żeby wciągać w relacje nowych ludzi, przyjeżdżających tu z krajów muzułmańskich. Zwłaszcza że skoro jest tak, że my się czegoś boimy, to w drugą stronę też to tak działa.

Oczywiście! Dla osób, które znalazły się w obcym kraju, z nieznaną im religią i kulturą, to może być trudne.

Spróbujmy w takim razie spojrzeć na polską rzeczywistość oczami przybysza spoza Polski, z Bliskiego Wschodu. Ty sam mówisz o sobie, że jesteś migrantem z...

...Lublina! [śmiech]

Rozumiem, że Lublin i Kraków to mogą być dwa różne światy. Ale chcę cię zapytać o twój tatę, Nedala Abu Tabaqa, który był współzałożycielem i muftim Ligi Muzułmańskiej w Polsce. Czy na podstawie waszego rodzinnego doświadczenia widzisz coś, co mogłoby być dobrym punktem wejścia do naszej rzeczywistości dla przybysza z Bliskiego Wschodu?

To ciekawa historia. Bardzo żałuję, że Taty nie ma już z nami i nie może ci sam o tym opowiedzieć. Tata przyjechał tutaj studiować medycynę...

Z Palestyny?

Nie. Moja rodzina była uchodźcami z Palestyny. Tata był Palestyńczykiem urodzonym w Arabii Saudyjskiej, wychowanym w Kuwejcie, z paszportem jordańskim. I przyleciał tutaj na studia. To było jeszcze przed 1989 rokiem.

Gdy przyjechał do Lublina, od razu zgubił się na Starym Mieście. On wtedy ani dudu po polsku nie mówił; nie wiedział, jak trafić do pokoiku, który sobie wynajął. Napotkał jakąś staruszkę, która go zapytała, skąd jest. Tata oczywiście nie potrafił po polsku odpowiedzieć, więc tylko pokazał adres, że musi trafić na taką ulicę i nie wie jak. A od centrum do tego miejsca było ponad trzy kilometry. I ta staruszka wzięła Tatę za rękę i po prostu go tam zaprowadziła!

No i zakochał się w Polsce, w Polakach; widział, że ludzie, często nawet prości, byli bardzo ciekawi. Nie byli ignorantami, nie byli uprzedzeni z góry. Wtedy jeszcze społeczeństwo było mocno jednolite, mało było w Polsce osób z zagranicy. Ludzie byli ich bardzo ciekawi, bardzo otwarci. Wiadomo, że propaganda komunistyczna była bardzo mocna, natomiast ludzie byli odważni. Sami mieli mało, ale chętnie się dzielili, zapraszali do siebie na święta. Ten dodatkowy talerzyk na stole wigilijnym nie był tylko symboliczny.

Częściej się chodziło do domów.

Tak. To taki trochę znak czasu teraz, że ludzie się zamykają. Media społecznościowe miały nas do siebie przybliżyć, a w rzeczywistości oddaliły nas od siebie. To wielka szkoda, bo powinniśmy sobie powiedzieć, że jak będziemy mieć problemy, to sobie poradzimy, wspólnie zadziałamy, prawda? A nie, że zamykamy się w swoim grajdołku, z daleka od wszystkiego... Chociaż ja zawsze mówię, że nigdy nie zwątpię w Polaków, bo to był zawsze bardzo odważny, bardzo dobry, bardzo życzliwy naród. Reakcja na uchodźców z Ukrainy pokazała, że to dobro nadal jest.

Tylko jakby trochę nierówno rozdzielane?

Z bólem patrzę na granicę polsko-białoruską. Tam to dobro i gotowość niesienia pomocy udało się uspić. Ale myślę, że to wynika raczej ze straszenia obcym, innym, niebiałym człowiekiem. To jest akurat nasza rola, żeby nad tym pracować.

Gdy jeszcze jako małolat pytałem Tatę, dlaczego nie wyjedziemy w jakieś inne, dające nam lepszy komfort życia miejsce, to on odpowiadał, że ten kraj nas wykształcił, dał nam przyjaciół, dał nam rodzinę i nie zostawimy go. Mamy teraz żyć tutaj, pracować na jego rzecz i rozwijać dialog, zmieniać myślenie o islamie.

Wracając do głównego wątku rozmowy: przyjeżdżają tu ludzie, którzy mogą czuć się obco – trudny język, inna religia, inna kultura. Co może być dla nich inspirujące? Czy nawiązania do wielokulturowej historii mogą być pomocne?

Tak! Ale przede wszystkim otwartość.

Jeśli ktoś nie żył w kraju arabskim, nie wie, jak tam jest. Oczywiście, jak ktoś się urodził w bogatym Kuwejcie czy Katarze, to będzie miał dobrze. Natomiast dla wielu Arabów są tam niewidzialne ściany nie do przejścia. Nie można mieć własnej nieruchomości, kupić mieszkania, założyć firmy. Nigdy nie będziesz się tam czuł jak u siebie. A w Polsce możesz być równoprawnym obywatelem. Tata również za to kochał ten kraj, że mógł tutaj pracować, mógł spać spokojnie, mógł sobie wybudować dom. Nie było stresu, że ktoś w każdej chwili może go spakować i wyrzucić. To bardzo ważne!

Oby nigdy nie było w Polsce tak, że osoby są wykluczane z powodu pochodzenia. Zawsze mówię, że jeżeli ktoś jest dumny z czegoś, na co nie ma wpływu, to po prostu bardzo mało osiągnie w życiu. Nie mamy wpływu na to, z jakim kolorem skóry się rodzimy, skąd pochodzimy, jakich mamy rodziców. Nie my to wybieraliśmy. To była loteria. Czasami ktoś po prostu wylosował słabsze karty i to nie znaczy, że nie ma prawa poprawić swojego losu. Ma prawo. Jeżeli chce pracować i chce się rozwijać, to nikt nie powinien mu tego utrudniać.

Tym bardziej że za decyzją o migracji często stoją globalne zmiany: klimatyczne, ekonomiczne, konflikty wojenne, które sprawiają, że wielu ludzi już nie będzie mogło żyć w dotychczasowych miejscach zamieszkania.

Otóż to. Są tacy, którzy mówią, że pomarańcze będą u nas rosnąć. Dobra, u nas będą rosnąć pomarańcze, ale u niektórych ludzi nie będzie rosnąć już nic. Ludzie migrują, żeby ratować życie swoich bliskich i swoje.

Natomiast Polska ma bardzo dużo zaoferowania, tylko musimy nauczyć się patrzeć na siebie bez uprzedzeń, bez lęku. Jedna i druga strona z otwartością. I z chęcią wspólnego budowania tego kraju.

TRZEBA WYCIĄGNAĆ KULTURĘ Z BARU

**rozmowa
z Valeriją Blagojević**

ELŻBIETA KAPROŃ: Podczas konferencji *Razem poprzez kulturę* powiedziałaś nam, że po raz pierwszy instytucja kultury zwróciła się do ciebie jako studentki i aktywistki, żeby podjąć jakieś działania. To temat, który musimy drążyć, żeby dowiedzieć się, co możemy robić lepiej. Zanim jednak zapytam cię o twoje spojrzenie na krakowską rzeczywistość, opowiedz nam trochę o swoich doświadczeniach międzykulturowych związanych z krajem pochodzenia. Bo Bałkany to jedno wielkie doświadczenie wielokulturowe...

VALERIJA BLAGOJEVIĆ: Albo jedna wielka trauma. Zależy, jak na to patrzysz.

Spróbujmy spojrzeć na nie z twojej perspektywy. Na ile jest ważne dla ciebie to, skąd pochodzisz?

Zazwyczaj mówię ludziom najpierw, że jestem z Bałkanów, a później, że mam na imię Valerija. Wydaje mi się, że ten fakt sam w sobie opisuje, kim jestem.

Aż do tego stopnia? Dlaczego?

Bo wiem, że świat jest pełen stereotypów.

Wielu Polaków co roku jeździ na Bałkany. To przepiękne rejony, ludzie lubią tam wracać, ale to są wyjazdy turystyczne. Dlatego wydaje mi się, że gdy ktoś pozna mnie lepiej, to również same Bałkany trochę się do tej osoby zbliżą. Bardzo ważne jest dla mnie pokazanie już w pierwszym kontakcie, że można we mnie zobaczyć osobę bardzo otwartą i pozytywnie nastawioną do życia. Bo nas życie na Bałkanach nie nauczyło myśleć, że wszystko będzie w porządku, że świat jest pełen pozytywnych przykładów i że po prostu możemy go zmieniać.

Rozumiem, że dla ciebie bycie z Bałkanów oznacza pewną misję?

Oczywiście!

Traumatyczne doświadczenie wojenne, z którego skutkami zmagają się kolejne pokolenia, ma pomóc w zmienianiu świata na lepsze?

To brzmi może trochę patetycznie, ale chodzi przede wszystkim o to, że ja nie chcę uchodzić za ofiarę wojny. Nie jesteśmy ofiarami, jesteśmy współwinni tego, że sytuacja teraz wygląda tak, jak wygląda. Z drugiej strony nie możemy przestać walczyć o to, żeby się naszą kulturę przedstawiało w jak najlepszym świetle. Bo Bałkany są regionem bardzo skomplikowanym, ale też niezwykle pięknym i wartym tego, żeby go spróbować zrozumieć.

To jest pewne wyzwanie, ale też pewna radość, bo ludzie z Bałkanów oprócz ciężkiego życia mają wiele do zaoferowania i przede wszystkim możesz na nich liczyć. Dla mnie kwestia bałkańskiego pochodzenia jest bardzo istotną częścią mojej osobowości i wiem, że nie tylko ja tak to odczuwam. Nie chcę się teraz zbyt długo rozwodzić na ten temat, bo na pewno sama poczujesz do końca rozmowy, że dla mieszkańców Bałkanów to jest naprawdę bardzo ważne.

Mówisz o osobach wyjeżdżających na studia lub do pracy za granicę. A czy mieszkańcy bałkańskich krajów są pogodzeni z rzeczywistością, czy skonfliktowani ze sobą nawzajem?

Mogę powiedzieć dwie rzeczy: nie możemy ufać mediom i starszym pokoleniom, które przeżyły wojnę. Nie zgadzam się na to, żeby te doświadczenia przekładać na nas. Jeśli ktoś ciągle nawołuje do podziałów, do nienawiści, ponosi winę również i za to, że nie rozmawiam z tobą w swoim kraju, ale tutaj, w Krakowie. Wątpię, czy istnieje ktoś z Bałkanów, kto nie jest choćby częściowo dumny z tego, że pochodzi z tego regionu, ale duma wiąże się głównie z naszą kulturą, czyli muzyką, jedzeniem, luźnym stylem życia. Niestety, przeważnie te kwestie stawiane są na drugim miejscu. Pierwsze skojarzenie i narracja zawsze dotyczą sprzeczności i niemożliwości porozumienia się.

Zanim przyjechałam do Polski, przez pięć lat starałam się wspólnie z aktywną młodzieżą zmieniać rzeczywistość w Bośni. Mogę powiedzieć z całą pewnością, że jeśli w Bośni, która najbardziej ucierpiała w wyniku działań wojennych, są osoby, które nie tracą nadziei co do przyszłości i wierzą, że możemy znowu być normalnymi ludźmi, którzy potrafią ze sobą rozmawiać i się lubić, to żaden inny kraj na Bałkanach nie może powiedzieć, że to jest niemożliwe. Trzeba po prostu iść w tym kierunku.

Niezależnie od tego, z którego kraju, z której grupy etnicznej czy religijnej pochodzi?

Wszyscy jednakowo czekają teraz na wizę, żeby wyjechać, zarobić i jakoś ułożyć sobie życie. To jest niestety prawda, którą trudno zaakceptować starszym pokoleniom, które walczyły ze sobą na wojnie.

Istnieje wyraźna różnica między pokoleniem, które brało udział w wojnie, i tym, które musi żyć z jej skutkami?

Ogromna!

Moi rodzice nie mieli prawdziwego dzieciństwa ani żadnych możliwości życiowych, ale mieli nadzieję, że ich dzieci kiedyś będą mogły żyć i rozwijać się w normalnych warunkach. A teraz ich dzieci nie są w Bośni, rozjechały się po świecie. Ja nie byłam świadkiem tego wszystkiego. Z mojej perspektywy możesz się przyjaźnić z kimkol-

wiek chcesz. Nieważne skąd jest, liczy się to, czy jest dobrym człowiekiem. To jedyny podział, który uznaję. I większość młodych ludzi ma takie samo podejście.

Mówisz w imieniu pokolenia powojennego, które nie mogło mieć wpływu na politykę lat dziewięćdziesiątych. A jak wyglądają relacje tych osób, które znalazły się wtedy po przeciwnych stronach konfliktu?

To bardzo ciekawa kwestia, ponieważ może nawet śmieszna. To są często ludzie, którzy, póki są w Bośni, unikają rozmów ze sobą, ale gdy pojedą na przykład do Niemiec i tam zaczną zarabiać na życie, żeby wysłać pieniądze rodzinie, to okazuje się, że trzymają się razem i mogą ze sobą normalnie współistnieć.

Odzywa się w nich bałkańska solidarność?

Tak. I tam wszyscy działają we wspólnocie. Ale w momencie, gdy wracają do ojczyzny, sytuacja zaczyna wyglądać kompletnie inaczej...

Mnie się poszczęściło, bo moja rodzina dobrze rozumie, że to, co się stało w przeszłości, przyniosło nam wszystkim straty. Wychowali mnie w przekonaniu, że wszyscy jesteśmy ludźmi, niezależnie od pochodzenia, języka, religii. Niestety, to jest rzadki przykład. Nie wszyscy są tacy.

Najbardziej boli mnie to, że ludzie nie są w stanie zrozumieć, że niczego już nie mogą zmienić. I to, że rozmawiają z kimś w Niemczech, ale w Bośni już nie – to jest absurdalne. Będzie ciekawiej, jeśli nauczymy się ze sobą rozmawiać, protestować przeciwko polityce, która doprowadziła do tego, że nie mieszkamy ze swoimi rodzinami, że jesteśmy wszyscy porzuceni po Europie. O to trzeba walczyć, a nie o to, kto jak się nazywa i z kim możemy rozmawiać, a z kim nie. To już nie są lata dziewięćdziesiąte. Męczy mnie to, i nie tylko mnie. Na szczęście coraz mniej osób angażuje się w etniczne rozważania i pielęgnowanie nienawiści. Widzą, że codziennie na granicy ustawiają się kolejki wyjeżdżających za granicę osób, i zastanawiają się, jak tę sytuację odwrócić.

Jaką postawę powinniśmy przyjmować wobec migrantów z Bałkanów tu w Polsce: widzieć w nich przedstawicieli poszczególnych krajów czy patrzeć przez pryzmat całego regionu? Zaproszenie na spotkanie z kulturą bałkańską – a nie przykładowo: serbską, bośniacką, chorwacką – nie wywoła poczucia niezadowolenia i niezrozumienia?

Przeciwnie! Dla nas to będzie nawet miłe, bo nie ma zbyt wielu takich wydarzeń. Generalnie nasza społeczność tutaj w Krakowie jest bardzo zróżnicowana. Najwięcej osób jest z Chorwacji oczywiście, bo mają europejski paszport, ale studiuje tu i pracuje również wielu Serbów i Bośniaków. I wszystkie bałkańskie wydarzenia, które udało

nam się zorganizować, były nam potrzebne, żeby posłuchać naszej muzyki, żeby trochę potańczyć. Takie bałkańskie imprezy w różnych miejscach są wspólne.

A co kryje się pod pojęciem kultury bałkańskiej? Wspomniałaś już o muzyce i tańcu...

Jedzenie, otwartość wobec ludzi, bezpośredniość w kontaktach, pozytywne nastawienie do nowych przyjaciół. Jesteśmy kulturą ciepłą. Lubimy sobie pożartować, zwłaszcza na własny temat. To kultura ludzi, którzy nie lubią siedzieć zamknięci w domach, to dla nas nienaturalne.

Czyli kiedy mówimy o tańcach, to niekoniecznie musi być klub, ale sprawdzą się też imprezy plenerowe?

Tak! Najgorsze, co możesz zrobić osobie z Bałkanów, to powiedzieć, że teraz ma siedzieć zamknięta przez dwa tygodnie, nie rozmawiać z nikim, bez muzyki i bez kawy. Bo bardzo istotną częścią naszej kultury jest również kawiarnia.

A wieloreligijność i wielojęzyczność bałkańskiej kultury? Jak to wygląda w praktyce?

Ogólnie kwestia językowa nie jest problemem.

Serbsko-chorwacki nie rozpadł się na oddzielne języki?

To jest język wspólny. Przykro mi, że jako osoba urodzona już po wojnie muszę wyjaśniać starszym pokoleniom, że to był jeden język, a to, że teraz mamy pięć osobnych języków, jest tylko kwestią polityki.

Języków czy wariantów języka?

To są dialekty. Niektóre różnice stają się coraz bardziej widoczne, bo jest tendencja, żeby usuwać podobieństwa. Dla nas młodszych to jest idealne, bo w CV możemy wpisać znajomość pięciu języków! To taki bonus [śmiech]. Różnice oczywiście są, słychać je także w akcentach. Niektóre słowa mówimy po serbsku inaczej niż po chorwacku. Ale bez problemu wszyscy się rozumiemy, bo to kiedyś był jeden język.

A co z religiami? Na Bałkanach ta różnorodność religijna jest bardzo realna, prawda?

Tak. Zwłaszcza w Bośni. I tę kwestię doceniam może najbardziej ze wszystkich – że na jednej ulicy może być i meczet, i kościół prawosławny, i kościół katolicki. To jest po prostu coś niesamowitego. Dużo podróżuję, ale nigdzie z czymś takim się nie spotkałam.

Te wspólnoty ze sobą współpracują? Zachęcają, żeby ludzie się poznawali i coś razem robili?

Tak. Po wojnie ogromna część funduszy międzynarodowych została skierowana na edukację o różnicach religijnych – żebyśmy poznawali i uczyli się szanować każde wy-

znanie. To trwa do tej pory, choć nie ma już takiej palącej potrzeby, bo ludzie trochę się zmienili i uspokoiili. Ale z początkiem lat dwutysięcznych dostawaliśmy naprawdę ogromne pieniądze na organizowanie spotkań i warsztatów, żeby na przykład grupa uczniów serbskich poszła na wycieczkę do meczetu i posłuchała imama, i odwrotnie: dzieci muzułmańskie chodziły do kościoła prawosławnego albo katolickiego. I to naprawdę zadziało.

Jak coś znamy, to przestajemy się obawiać i żywić własnymi wyobrażeniami?

Zwłaszcza w takiej społeczności, gdzie naprawdę nie możesz unikać kontaktów, bo po prostu mieszkasz w tak zróżnicowanym rejonie. Powojenne pokolenie jest już tego świadome.

Rozumiem, że zróżnicowanie religijne przekłada się również na narodową przynależność?

Tak, to jest związane z tym, w której części Bałkanów mieszkasz. To bardzo skomplikowane, zwłaszcza gdy patrzysz z polskiej perspektywy, bo tutaj dopiero teraz pojawia się coraz więcej różnic międzykulturowych. U nas zawsze było duże zróżnicowanie, nawet za czasów Jugosławii.

I teraz w Bośni, która była najbardziej dotknięta przez wojnę, mamy konstytucję przyjętą na mocy porozumienia z Dayton. Czyli nasze państwo składa się z Republiki Serbskiej, Federacji Bośni i Hercegowiny oraz autonomicznego dystryktu Brčko. Niektórzy mówią, że to jest żart po prostu, i ja się zgodzę z tą stroną. Bo układ z Dayton, który miał zakończyć wojnę, faktycznie ją zakończył. Super, dziękuję! Ale z drugiej strony spowodował tysiące nowych, głębszych problemów, przez które dzisiaj żyjemy tak, jak żyjemy. Mamy kraj podzielony na trzy części. Jest trzech prezydentów...

To też różnorodność...

No super! Ale tylko w teorii. Porozumienie z Dayton może miało potencjał stać się czymś dobrym, żebyśmy mogli się chwalić ludziom w świecie, że mamy taki zróżnicowany kraj, że mamy aż trzech prezydentów, że to może być super, że działa fajnie. Ale niestety tak nie jest. Mamy kraj podzielony na trzy części od samej góry – dosłownie od najwyższego szczytu do przedszkola.

Z drugiej strony zawsze doceniałam i szanowałam to, że jesteśmy zróżnicowani kulturowo. Uwielbiam to, że co roku chodzę na różne święta moich kolegów muzułmanów i katolików. Kontynuuję to tutaj, w Polsce. My wszyscy cały czas organizujemy spotkania świąteczne. To jest coś, o czym nie chcę zapomnieć i czym naprawdę chwalę się na pierwszym miejscu.

Przenieśmy się teraz do Krakowa. Wiemy już, w jaki sposób proponujesz patrzeć na bałkańską kulturę. Wyjaśnij jeszcze, na czym polega problem, o którym wspominałaś przy naszym pierwszym spotkaniu – powiedziałaś mi wtedy, że chciałabyś wyciągnąć kulturę bałkańską z baru...

Cieszę się, że wracamy do tej kwestii, bo ona jest bardzo istotna. Chodzi o to, gdzie w ogóle można się w Krakowie spotkać z kulturą bałkańską. Prawie nigdzie. Częściowo wina leży po naszej stronie, bo nigdy nikt z nas nie był tak ambitny, żeby zainicjować projekty kulturalne, które by się odnosiły do Bałkanów. Niestety to też jest moja wina, bo nigdy nie miałam czasu wykorzystać swojego potencjału i zainicjować czegoś większego, chociaż wiem, że na sto procent mogłabym liczyć na wsparcie nie tylko ambasady, ale też instytucji kultury i ludzi, których znam. Problem polega na tym – i to też jest kwestia kulturowa – że wszyscy mamy dużo do powiedzenia, ale jak trzeba zacząć działać, to po prostu potrzebujesz kogoś, kto będzie cię stale motywował. Ja potrafię być motywatorem – jak mam jakiś cel, to po prostu dążę do niego. Tylko że przyjechałam tutaj przede wszystkim po to, żeby skończyć studia i jakoś odnaleźć się dalej. Nie miałam czasu, żeby założyć organizację albo zainicjować cokolwiek, co by się odnosiło do bałkańskiej społeczności. Z początku też nie było takiej potrzeby, bo nie było nas dużo i ludzie nie byli zainteresowani niczym poza barami, czyli: bałkańska impreza, bałkański sylwester, ale raczej we własnym zakresie.

Knajpiane i klubowe życie Krakowa wystarczało?

Tak, tylko że nie przez cały czas. Trzymamy się ze sobą bardzo blisko i co trzy dni jesteśmy razem. Ale to są raczej takie luźne spotkania. Przez jakiś czas funkcjonował w Krakowie Balkan Bar, ale już go nie ma. Chyba nie przetrwał pandemii.

To była wasza inicjatywa?

Nie. I to było bardzo czuć, że to nie jest miejsce prowadzone przez ludzi z Bałkanów.

Na czym polegała „bałkańskość” tego miejsca?

Po prostu była nazwa Balkan Bar i tam przychodzili wszyscy ludzie z Bałkanów. Byliśmy szczęśliwi, gdy zobaczyliśmy, że jest takie miejsce! Poszliśmy tam, były jakieś symbole bałkańskie na ścianach i muzyka, głównie Bregović. On dla Polaków jest chyba największą bałkańską gwiazdą.

Goran Bregović odniósł w Polsce ogromny sukces. Piosenki nagrane z Kayah i Krzysztofem Krawczykiem śpiewa się na polskich weselach. Niestety poznaliśmy też jego poglądy polityczne... Jednak niezależnie od kontekstu politycznego, dla wielu z nas jego muzyka pozostaje pierwszym skojarzeniem z kulturą bałkańską. Czy to jest irytujące?

To jest trudne – czy muzykę, którą stworzył, należy oddzielać od jego poglądów? W demokracji wszyscy mamy prawo głosu, więc po prostu trzeba o tym rozmawiać. Ale Bregović to nie mój *vibe*. Polacy lubią tę muzykę, bo ich przyciąga do Bałkanów. Przykro mi, że nie mogę każdemu Polakowi powiedzieć, że to nie jest nawet nikły procent naszej muzyki. Ale OK, współpracował z polskimi artystami, dobrze gra, ma dobre teksty – i tyle. Gdybym miała wybrać artystów na koncert, nigdy bym go nie zaprosiła, bo mamy wielu lepszych. Pod każdym względem.

No tak. Ale wchodzisz do Balkan Baru...

A tam Bregović 24/7. Wiem.

No i co wtedy? Zostajesz? Wychodzisz?

Nie wychodzę, bo to jest jedyny bałkański bar w Krakowie i są tutaj moi koledzy.

Rozumiem, że docieramy tu do powodu, dlaczego kulturę bałkańską trzeba wyciągnąć z baru?

Tak. Mam nadzieję, że skończę wkrótce magisterkę i będę się mogła bardziej zajmować tymi kwestiami. Bo wiem, że ludzie chcieliby nie tylko iść do baru, posiedzieć, zrobić imprezę, ale też zobaczyć nasz film w kinie, zobaczyć naszą wystawę w galerii.

Gdybyś miała wyobrazić sobie pocztówkę z przyszłości, która wygląda tak, jak sobie życzysz, to gdzie i w jakiej formie byłaby obecna kultura bałkańska?

Ja już mam konkretny projekt. Mój najlepszy przyjaciel z Bośni jest profesorem szkoły muzycznej w moim mieście. To jest podstawowa szkoła muzyczna i w ramach tego projektu chciałabym zorganizować wymianę uczniów ze szkół muzycznych, żeby mogli przyjechać do Polski na kilka dni i pokazać ludziom swoją muzykę. I na odwrót: żeby polskie dzieci później też przyjechały do Bośni na kilka dni i tam miały koncert. Żeby mogły wystąpić razem z naszymi dziećmi.

Masz na myśli muzykę klasyczną, czy raczej folkową, brassbandy?

To też, ale przede wszystkim naszą tradycyjną muzykę, która nazywa się *sevdah*. To jest kompletnie inna rzecz niż turbofolk. Fajna muzyka dotycząca miłości, nasze tradycyjne melodie – one są najistotniejsze. Nie widzę lepszego rozwiązania niż łączenie różnych kultur poprzez sztukę. Żeby coś pokochać, musisz to najpierw poznać i zrozumieć. Z drugiej strony nie chciałabym, żeby takie poznawanie i łączenie kultur było tylko dwustronne. Na warsztaty i wydarzenia trzeba zapraszać ludzi z różnych kultur. Bo mówimy o Krakowie, który dla mnie nigdy do końca nie był tylko polskim miastem. Ono jest w Polsce, ale to nie jest tylko polskie miasto, to jest miasto wielokulturowe. Musimy zacząć je tak właśnie postrzegać – jako miasto nas wszystkich.

Gdy patrzysz na Kraków, to widzisz tę wielokulturowość? Czy to raczej potrzeba, żeby miasto stawało się wielokulturowe?

Ja tę wielokulturowość cały czas widzę. Choć od czasu, kiedy przyjechałam tu pięć lat temu, bardzo się wszystko zmieniło. Naprawdę odczuwam różnicę. Wszystko się zmienia na lepsze. To jest dla mnie zaskoczenie, bo pochodzę z kraju, gdzie codziennie coś się zmienia na gorsze, a tutaj widzę zmiany na lepsze. To się dzieje za sprawą ludzi. Każdy człowiek, który tutaj przyjeżdża, przywozi ze sobą coś swojego.

Gdy przyjechałaś tu na studia, trafiłaś od razu w środowisko wielokulturowe. Studenci z różnych krajów przechodzą taki wstępny okres, kiedy uczą się języka i kultury...

Tak. To doświadczenie, o którym teraz opowiadam z uśmiechem, ale na początku chciało mi się płakać.

Gdy otrzymałam stypendium, powiedzieli mi w ambasadzie, że będę mieszkać w międzynarodowym akademiku. Dla mnie oznaczało to, że wszyscy będą mówić po angielsku. Tymczasem po przyjeździe do akademika od razu natknęłam się na panią, która zaczęła do mnie mówić po polsku i nawet nie starała się gestykulować, żebym coś zrozumiała. Nie wiedziałam, co robić. Zadzwoiłam do mamy, że nie chcę tutaj zostać, ale w końcu pomógł mi jakiś Polak, który znał angielski. OK, spoko. Poszłam do swojego pokoju i liczyłam na to, że tam już będzie dobrze. A tam dziewczyny – jedna z Kazachstanu, druga z Mołdawii chyba, żadna nie gada po angielsku. Jak powiedziałam, skąd jestem, to one na to: „A gdzie to jest?”. Reszta dziewczyn była z Białorusi, Rosji, Ukrainy, i na szczęście też dużo osób z Turcji – od razu się z nimi zaprzyjaźniłam, bo mówili po angielsku.

Ale muszę też przyznać, że dziewczyny w żadnym momencie nie pozwoliły, żebym się czuła samotna przez to, że jako jedyna w dziesięcioosobowym składzie nie znałam ani języka, ani nie pochodziłam z tej samej kultury. I też to dla mnie było ciekawe, bo wszyscy byliśmy w podobnej sytuacji. Tylko że dziewczyny rozmawiały ze sobą po rosyjsku, ale szybko wpadłyśmy na to, że przecież w XXI wieku mamy Google Translate. Więc to też jest ogromna lekcja, że życie jest pełne niespodzianek, które z początku wydają się końcem świata, ale później zmieniają się w słodkie wspomnienia trudnych początków.

Ta anegdota pokazuje, że przyjechałaś do Krakowa, który rzeczywiście był międzynarodowy, tylko jednocześnie na tę międzynarodowość nieprzygotowany.

Wszyscy tak mówili. Pamiętam, że wręczając mi decyzję o stypendium, pani konsul powiedziała, że Kraków jest bardzo międzynarodowym miastem, że będę w międzynarodowym akademiku i że na pewno będę uczyć się polskiego po angielsku. Po czym

Nie widzę lepszego rozwiązania niż łączenie różnych kultur poprzez sztukę. Żeby coś pokochać, musisz to najpierw poznać i zrozumieć. Z drugiej strony nie chciałabym, żeby takie poznawanie i łączenie kultur było tylko dwustronne. Na warsztaty i wydarzenia trzeba zapraszać ludzi z różnych kultur.

przychodzę na pierwsze zajęcia i pani od gramatyki mówi do mnie: „Pani ojczystym językiem jest serbski? No to będzie się pani uczyć z nami polskiego po polsku”.

A dla mnie polski w tym momencie był trudniejszy niż arabski!

Kilka razy chciałam wrócić do Bośni. Walizki nie rozpakowałam przez miesiąc. Dla mnie to była porażka, bo nic, co mi obiecano, nie zostało zrealizowane. Poprzez adaptację kulturową bardzo szybko się to wszystko zmieniło. Teraz nie wyobrażam sobie innej rzeczywistości, ale na początku wszystko było nie tak. Chociaż muszę przyznać, że mimo nieznamości języka wszyscy byli otwarci wobec mnie jako nowej osoby z innej kultury, z innego kraju i ciekawi po prostu, jak tam jest i co ja tutaj chcę robić. Wtedy rozumiałam, że może właśnie o to chodzi z tą międzynarodowością – możemy się porozumieć przez kulturę, przez piosenki i przez taniec. Przez tysiąc innych rzeczy.

A czy jest jakiś przepływ między młodymi ludźmi, którzy tu przyjeżdżają na studia, a urzędami, instytucjami, życiem miasta? Nawigują się jakieś bezpośrednie kontakty z ludźmi?

Kraków, patrząc przez pryzmat tych, którzy tutaj żyją, jest otwartym miastem. Ale obcokrajowiec, żeby prowadzić normalne życie, potrzebuje nie tylko tych codziennych kontaktów z ludźmi, ale musi tysiące rzeczy załatwić w urzędach, szpitalach, instytucjach – i nie może, bo jest ta przeszkoda językowa. Oczywiście jest to problem dwustronny, bo każdy obcokrajowiec, który planuje tutaj przyjechać, musi się liczyć z tym, że nie w każdym miejscu może uzyskać pomoc w języku angielskim, ale też pracownicy w urzędach, zwłaszcza obsługujących obcokrajowców, muszą brać pod uwagę to, że ludzie, którzy przyjeżdżają do Krakowa pracować, niekoniecznie muszą mówić po polsku.

Czy dlatego zostałam ambasadorką studentów UJ?

W tym roku nie jestem już członkiem zespołu ambasadorów UJ, bo piszę magisterkę i pracuję na pełnym etacie, więc nie mam czasu, niestety. Ale to jest chyba najlepszy przykład tego, w jaki sposób zapewnić studentom pierwszą pomoc.

Co roku organizujemy Intro Days, podczas których przez pięć dni wspólnie z profesorami, wykładowcami, pracownikami uczelni prowadzimy warsztaty nie tylko na temat życia uniwersyteckiego i w akademiku, ale też życia w Krakowie. W ramach tego wydarzenia opowiadamy, jak działa karta pobytu, co robi Straż Graniczna, ale też jak korzystać z biblioteki albo jak kupić bilet w tramwaju. To są bardzo ważne rzeczy, bo wszyscy pochodzimy z różnych kultur i jeśli chcemy tutaj mieszkać, musimy się przygotować na różne oczywistości i nieoczywistości życia codziennego w Krakowie.

Intro Days trwają tylko pięć dni, ale jest też tak zwana „zerówka”, czyli roczny kurs

przygotowawczy, podczas którego uczyliśmy się nie tylko języka polskiego, ale też przystosowania się do polskiej rzeczywistości i kultury. Oczywiście nie oznacza to, że mam swoją kulturę odrzucić. Mogę się nią chwalić i szanować, ale żeby moje życie było łatwiejsze, to muszę się dostosować do tego, gdzie znajduję się teraz. Takich rzeczy nie da się przeczytać w internecie ani w książce. To się wydarza poprzez kontakty i konkretne przykłady – że nikt nie oczekuje od ciebie, że odrzucisz wszystko, z czym przyjechałeś, ale po prostu żebyś zrobił trochę miejsca na coś nowego. Żadna zmiana nie trwa przez noc, że jutro już będzie lepiej. Nie. Każda zmiana to jest cały proces. Ja jestem tutaj od pięciu lat i nadal codziennie się uczę czegoś nowego.

Wróćmy do tego, co usłyszałam od ciebie przy pierwszym spotkaniu: że nigdy żadna instytucja nie zwróciła się do ciebie z propozycją współpracy. Czego zabrakło i czym instytucje kultury są dla nowych mieszkańców Krakowa?

Nie chciałabym, żeby instytucje kultury czuły się winne, że ludzie nie wiedzą, do kogo mają się zwrócić, jeśli chcą zorganizować jakieś warsztaty czy eventy. Nie mogę oczekiwać od instytucji kultury, że będą zapisywały sobie każdą osobę, która przyjeżdża do Krakowa, i bezpośrednio do niej się zwracały: „Ej, chcesz, żebyśmy zorganizowali wieczór bałkańskiej poezji?”.

Ale też z drugiej strony jako taka nowa osoba chciałabym wiedzieć, że jest przynajmniej jedna instytucja kultury, która pomoże mi takie coś zorganizować, przynajmniej podpowie, do kogo pójść, udzieli jakiejś pomocy, da wskazówki.

Każdy, kto tu przyjeżdża, powinien wiedzieć, gdzie może się zwrócić po pomoc w sprawach kulturalnych? Podobnie jak w związku z pobytem idziesz do urzędu do spraw cudzoziemców?

Tak. Tylko wiesz, w sprawach paszportu nigdy niczego nie możesz załatwić od razu, zawsze trzeba przychodzić wielokrotnie. Więc może instytucje kultury też muszą zmienić podejście, tak jak urzędnicy, że coś tam niby zapomną i znowu musisz przychodzić, i wtedy ten nawyk przychodzenia do instytucji kultury się utrwali [śmiech].

Nie wiem, czy jestem dobrym przykładem, bo przez to, że jestem aktywna na uczelni, mam więcej kontaktów, ale przeciętna osoba, która mieszka i pracuje w Krakowie, może po prostu nie znać oferty kulturalnej. Jak ma czas, to pójdzie na siłownię albo do baru. Powiedziałabym po prostu, że na pewno potrzebujecie więcej promocji otwartej na wszystkich. I nie chodzi tylko o promocję wydarzeń, tylko żeby było wiadomo, co która instytucja robi i czego konkretnie można w niej szukać.

Możemy takie otwarte środowisko kultury budować poprzez system praktyk studen-

ckich i wolontariatu?

Tak. To na pewno jest słabe, gdy ludzie studiują na przykład relacje międzykulturowe i nie wiedzą, gdzie mają szukać praktyk studenckich, bo nie wiedzą, jakie są w Krakowie instytucje kultury. To jest problem dwustronny. Takie otwieranie się na zmiany zawsze wymaga czasu, ale są one konieczne.

Wojna w Ukrainie pokazała nam, jak bardzo szybko się zmienia rzeczywistość – dzisiaj wszystko jest w porządku, jutro może już nie być. Ale jesteśmy w stanie bardzo szybko dostosować się do tych zmian. I to jest potencjał, który trzeba wykorzystać. Jeśli będziemy gotowi adaptować się do nowej rzeczywistości, przestanie ona być problemem i przeszkodą. Potrzebna jest dobra motywacja i ciekawość. Po prostu trzeba pogodzić się z tym, że nowa rzeczywistość będzie pełna niespodzianek. Każdy dzień różni się od poprzedniego i trzeba nauczyć się do tego dostosowywać. W jaki konkretnie sposób? – nie powiem, czas pokaże.

**GDYBY WSZY-
SCY TWORZYLI
TAKĄ SAMĄ
MUZYKĘ, PRZE-
STAŁABY BYĆ
POTRZEBNA**

**rozmowa
z Wassimem Ibrahimem**

ELŻBIETA KAPROŃ: Chciałam zacząć rozmowę od pułapki, w którą wpadłam. Gdy spotkaliśmy się na warsztatach w MIK-u, od razu wiedziałam, że cię znam. Przeglądałam w głowie obrazki z koncertów, z konferencji... Skąd? Gdzie? Jak? Dopiero na drugi dzień uświadomiłam sobie, że byłam na twoim koncercie, to było wykonanie *Pasji wg świętego Mateusza Bacha z Capellą Cracoviensis*. Pułapka polegała na tym, że włożyłam cię do takiej szufladki „gwiazda na gościnnym występie w Krakowie”. A ty jesteś nasz, tutejszy, swój.

Dlatego chciałabym cię poprosić o to, żebyś sam się przedstawił. Jak ty sam siebie widzisz? Jaka tożsamość jest dla Ciebie najważniejsza?

WASSIM IBRAHIM: Nazywam się Wassim Ibrahim. Jestem Syryjczykiem z Damaszku. Przyjechałem do Polski 11 lat temu, żeby kontynuować studia muzyczne. W Damaszku ukończyłem konserwatorium, ale nie miałem tam szans na doktorat, więc wysłałem papiery do Akademii Muzycznej w Krakowie. Zostałem przyjęty na wydział Twórczości, Interpretacji i Edukacji Muzycznej, katedra kompozycji, skończyłem magisterium u profesora Józefa Rychlika i doktorat u profesora Wojciecha Widłaka. Teraz prowadzę na Akademii Muzycznej im. Krzysztofa Pendereckiego w Krakowie swój fakultet – Muzyka Etniczna.

Gram na różnych instrumentach, między innymi na arabskiej lutni oud, na instrumentach dętych; w pracy kompozytorskiej pomaga mi gra na pianinie. Śpiewam tenorem – przez osiem lat występowałem na akademii i w operze w Damaszku, pracowałem też we Włoszech i Francji. Tutaj w Polsce stworzyłem Chór w Kontakcie. Często koncertuję z moim duetem Pieśni Lewantu, syryjsko-polsko-meksykańskim trio Nasmeh oraz zespołem Hamdam.

To twoja ścieżka zawodowa. A w planie osobistym – kim jesteś?

Po prostu muzykiem i kompozytorem. Zaczynam pracę jako muzyk o 7.00 rano i kończę o 22.00–23.00. Czasami jestem zmęczony fizycznie, ale bardzo szczęśliwy.

W snach też jesteś muzykiem?

Tak, kiedy śpię, też jestem muzykiem. Czasami wstaję rano z kilkoma pomysłami, zapisuję sobie jakiś fragment, szkic.

W snach jestem też często z rodziną w Damaszku. Mój Tata umarł dwa lata temu i coś takiego się stało, że codziennie przychodzi do mnie we śnie. Mam teraz tylko jedno marzenie – żeby spotkać się z Mamą, której nie widziałem od 11 lat. Poza tym nic więcej nie chcę. Po prostu jestem muzykiem – to właśnie jest Wassim.

Chyba powinniśmy w naszym społeczeństwie spróbować nauczyć się tego, żeby nie kategoryzować ludzi według jakichś narzuconych cech, jak pochodzenie, paszport.

Jaki paszport? Żyjemy w świecie, w którym wielu ludzi nosi w sobie więcej niż jedną narodowość!

Dostałem obywatelstwo polskie dwa lata temu, jestem z tego dumny i szczęśliwy. Ale jeśli chodzi o relację, to Kraków kochałem tak samo i przed, i po tym. Po prostu mieszkam tutaj. Wybrałem to miasto, bo czuję się tu szczęśliwy. Absolutnie nie interesuje mnie to, żeby mieszkać w Nowym Jorku, Londynie czy Rzymie. Może zarobiłbym tam więcej, ale to nie jest dla mnie ważne. Kilka miesięcy temu mój utwór był grany w Nowym Jorku, inny w Amsterdamie – i to wystarczy, że moja muzyka tam jest, ja tam nie muszę być.

Wydawałoby się, że dla muzyka jest kilka takich miejsc na świecie, które mogą być atrakcyjniejsze niż Kraków – można zaistnieć szerzej, być bardziej rozpoznawalnym, dostawać więcej ofert pracy. Co sprawiło, że wybrałeś nie Włochy, nie Stany Zjednoczone, nie Londyn, tylko Kraków? Był w tym jakiś element przypadku? Czy coś cię w Krakowie szczególnie przyciągało?

Każde miejsce daje inne wejście, inne możliwości. W Krakowie w tym miesiącu miałem 17 eventów. Jestem pewny – bo dużo pracuję za granicą – że na przykład w Wiedniu nie ma takiej opcji, żeby muzyk grał kilkanaście koncertów miesięcznie. Wystarczy, że mam koncerty w Stanach, w Austrii, w Hamburgu, w Amsterdamie, w Wisconsin, w Dubaju, w Algierii. Oczywiście, paszport dał mi możliwość wyjazdu do tamtych miast, ale mogę też organizować zagraniczne koncerty, mieszkając w Krakowie.

Paszport jest ważny, ale najważniejsza jest relacja z własnym krajem. Jestem teraz Polakiem i mam nadzieję, że pewnego dnia będę mógł oddać to, co Kraków mi dał. Bo dał mi dużo. Uznanie jest bardzo ważne, ale to wszystko jest kwestia relacji – z Krakowem, z Syrią. Człowiek ma prawo żyć tam, gdzie chce. Nie chodzi tylko o kraj, lecz o ludzi. Kto ma dobre podejście do ludzi, jest na nich otwarty; kto czuje, że między ludźmi nie ma różnic, temu będzie łatwo tworzyć.

I dlatego paszport dla mnie jakby nie istnieje. Jest dokumentem potwierdzającym, że jestem Polakiem i Syryjczykiem – i jestem z tego dumny. Ale czy moje relacje z ludź-

mi stają się przez to jakieś inne? Można powiedzieć, że z ludźmi, z którymi tworzymy dobre relacje, mamy taki paszport uniwersalny, który z nas tworzy wspólnotę. I tyle.

Wykonujesz muzykę z różnych stron świata, ale czy jako muzyk czujesz się osadzony w jakimś konkretnym kręgu kulturowym?

Jestem muzykiem z Lewantu. Mówię o Lewancie, a nie tylko o Syrii. Wcześniej nie było Syrii, Libanu itd. To było jedno terytorium, okupowane przez Imperium Otomańskie. Mówiliśmy jednym językiem. Na poziomie oficjalnego języka różnica między Libanem a Syrią jest taka, jak między Śląskiem a Małopolską. Granice państwowe między koloniami francuskimi i brytyjskimi zostały wyznaczone w 1921 roku – wtedy „ustalono” Syrię, Liban, Palestynę i Jordanię. Wcześniej tak nie było.

Kiedy słyszę melodię z Aleppo, od razu wiem, że to jest z Aleppo, a nie na przykład z Damaszku. No i co – to jest jakaś inna Syria? Nie, to jest jeden region. Istnieją też pieśni, które można usłyszeć w Turcji, ale wykonuje się je również po arabsku, te same piosenki odnajdziemy też w Grecji i w Egipcie. Wymiana kulturalna i wpływy są znacznie głębsze i ważniejsze niż granice polityczne.

Muzyka wędrowała wybrzeżami Morza Śródziemnego?

Tak! To wpływy kulturowe, idące śladem jedwabnego szlaku, okupacji otomańskiej, islamskich podbojów. Podobnie dzieje się, gdy śpiewamy muzykę bałkańską dawniej i dziś – czy należy ona wyłącznie do Rumunii, Bułgarii, Serbii, Macedonii? Nie, tam wszędzie jest muzyka bałkańska. Moim zdaniem nie ma też takiej wielkiej różnicy między muzyką polską, ukraińską, słowacką, choć już Niemczech czy we Francji jest inaczej, oni mają inne melodie.

Trudno więc mówić, że coś jest muzyką z Syrii. Historycznie – to jest muzyka aramejska, wywodząca się z kultury Mezopotamii, i to Aramejczycy budowali nasze dziedzictwo muzyczne. Tam właśnie jest moje źródło. I dlatego nie mogę powiedzieć, że wykonuję muzykę turecką, arabską, chrześcijańską czy muzułmańską – to nie ma dla mnie znaczenia. Mogę ci zaśpiewać kilka utworów: jedne będą z kościoła, inne z meczetu – ale różnić się będzie tylko ich tekst, islamski albo chrześcijański. W melodii nie ma różnicy. I to wszystko to nawet nie muzyka religijna, ale aramejska. I to jest dla mnie ważne. Trudno tu mówić o jakichś granicach... Żyjemy razem.

Trio, z którym występujesz, nazwałś Nasmeh – to arabskie słowo oznaczające delikatną bryzę. Czy można je rozumieć jako metaforę muzyki, która jak wiatr istnieje wszędzie?

Tak! I wszyscy jej potrzebujemy.

Czy, podobnie jak wiatr, muzyka nie dba o granice, czy są to jednak spotkania różnych światów, z których wynika coś nowego?

Na sto procent istnieje kilka rodzajów muzyki. Na przykład muzyka Mozarta jest czymś zupełnie innym niż muzyka aramejska. To inny system muzyczny i każdy z tych rodzajów muzyki przeżył inną podróż historyczną. Wszyscy zaczęliśmy kilka tysięcy lat temu razem. Ale później każdy region uformował własną specyfikę. Regionalne zróżnicowanie zależy od klimatu, od kultury, od natury, od relacji pomiędzy ludźmi, od języka; czasem to będzie inne rozumienie interwału pomiędzy nutami, różnice między instrumentami i w mentalności kompozytorów i wykonawców.

W Niemczech mówimy o Bachu, Francuzi mają Jeana-Philippe'a Rameau, a my tu w Polsce – Wacława z Szamotuł. To wszystko jest muzyka barokowa czy renesansowa, ale inna. Każda z nich ma inny kształt. Jeszcze inna jest muzyka arabska czy chińska.

One się nie przenikają?

Wszystko zależy od systemu muzycznego i od podróży muzycznej danego regionu. Kiedy na przykład Bach tworzył system temperowany – w tym czasie my na Bliskim Wschodzie znajdowaliśmy się pod okupacją otomańską. Przez 400 lat nie wolno było wykonywać muzyki na ulicach – no i z tego powodu nie był możliwy taki rozwój muzyczny jak tutaj. Trochę siły muzyce i muzykom dał Kościół; najważniejsze utwory były pisane dla Kościoła, dlatego w ogóle możliwy był jakiś rozwój.

No i to jest właśnie taka różnica: muzyka rozwijała się w różnych warunkach. A rozwój to jest akumulacja historyczna. To prawda, że Bach zmienił historię muzyki – ale to nie jest jego wyłączna praca, to jest akumulacja od VI–V wieku p.n.e. aż do XVII wieku. I potem Beethoven zrobił drugą rewolucję w muzyce – ale to też nie tak, że nagle wszystko zrobił on sam. Nie, nikt nie może nagle stworzyć czegoś tak po prostu z niczego, nie jesteśmy bogami. Jesteśmy ludźmi, którzy się uczą od poprzedników. Ja uczyłem się od profesora Widłaka, przekazuję wiedzę studentom i zobaczymy, co będzie dalej.

I jeszcze inna sprawa: ja jestem Syryjczykiem, ale tworzę teraz muzykę w Polsce – na pewno są tu jakieś wpływy. Próbuję szukać wspólnych punktów między muzyką europejską a muzyką orientálną, żeby stworzyć coś nowego. Może dam radę, może nie – ale próbuję. W taki sposób rozwijają się kultury. Zamiast skupiać się na problemie, lepiej spojrzeć na niego z innej perspektywy, z innego punktu – i może wtedy uda się go rozwiązać.

*Mam bardzo poważne
podejście do kultury.
Nie ma takiej opcji,
żebyśmy mogli myśleć
o rozwijaniu między
ludźmi relacji bez kultu-
ry. To przez kulturę
możemy osiągnąć pokój,
lepszą atmosferę i to
właśnie kultura buduje
mosty pomiędzy ludźmi.*

Te wątki splatają się z rozmową o muzyce: to może uproszczenie, ale jednak – gdybyśmy wszyscy tworzyli taką samą muzykę, przestałaby być potrzebna?

Dokładnie! Ale jak różni ludzie przyjdą do mnie na koncert, to będą śpiewać razem, obiecuję!

Porozmawiajmy zatem o założonym przez siebie Chórze w Kontakcie. Kto może w nim śpiewać?

Stworzyłem ten chór osiem lat temu. Pierwsze ogłoszenie było takie: zapraszamy każdego, kto chce płakać, kto chce mówić...

Czyli nawet niekoniecznie śpiewać?

Tak, nawet niekoniecznie śpiewać... Kto chce płakać, kto chce mówić, ten znajdzie dla siebie miejsce w Chórze w Kontakcie. I to był mój pomysł na to, żeby robić coś wspólnie z innymi. Bo muzykę tworzę dla siebie, a chciałem zrobić coś dla ludzi i z ludźmi. Nawet nie z myślą o koncertach, tylko żeby się spotykać. I okazało się, że to jest najważniejsza rzecz w moim życiu.

No i tak idziemy razem krok po kroku. Zaczynaliśmy od prostych piosenek, a teraz śpiewamy już utwór na osiem głosów. Chór w Kontakcie tworzy około 100 osób; prowadzę też chór dla dzieci i dla seniorów. Śpiewamy muzykę świata w dwudziestu różnych językach. Nie wykonujemy jeszcze żadnego utworu japońskiego, ale mamy chiński, angielski, aramejski, arabski, polski, macedoński, serbski, gruziński, ormiański; przygotowujemy też turecki i perski.

Czy do śpiewania w waszym chórze potrzeba jakichś szczególnych umiejętności? Czy są eliminacje dla kandydatów?

Mamy rozgrzewkę. Potem uczę piosenki krok po kroku, w podziale na głosy i wspólnie. W ten sposób da się stworzyć grupę.

Oczywiście przychodzą do mnie ludzie, którzy nigdy w życiu nie śpiewali i nie umieją śpiewać, ale jeśli mają cierpliwość, to traktujemy to jako pewną pracę do wykonania. Nie ma problemu, jeśli zdarzy się fałsz. Nie jesteśmy chórem filharmonii, tylko Chórem w Kontakcie, dlatego czasami możemy fałszować. Tak widzę swoje zadanie: jako chór idziemy do przodu jeden krok dzisiaj, za miesiąc dwa kroki – i nagle zaśpiewaliśmy *Pasję* Bacha bez fałszu.

Moim zdaniem wszyscy możemy śpiewać. Wszyscy! Nawet jeśli ktoś nie poradzi sobie z całą melodią, to będzie potrafił zaśpiewać dwa dźwięki, które są ważne dla całości. Gdy śpiewamy na cztery głosy – to wystarczy. Jestem nauczycielem i moim obowiązkiem jest nauczyć cię czegoś. Nie wszyscy to rozumieją. Wielu nauczycieli jest go-

towych pracować tylko z uzdolnionymi muzykami, ale to nie jest takie... prawdziwe. Oczywiście mają do tego prawo, ale ja chcę robić też coś dla ludzi.

Czy amator może dojść do wykonywania muzyki klasycznej, a nie tylko ludowej lub popularnej?

Tak. Mamy różne utwory, i ludowe, i inne bardzo łatwe do wykonania, ale mamy w repertuarze również Bacha, Wacława z Szamotuł, Haendla – śpiewamy jego najśłynniejsze *Alleluja*.

To dobra perspektywa rozwoju: żeby ludzie przychodzili nie tylko na koncerty i do teatrów, tylko żeby czuli się zaproszeni do współtworzenia. Czy można przenieść ten sposób myślenia na inne wymiary życia?

Na pewno tak.

Zanim jednak zaprosimy ludzi do współtworzenia, muszą się oni jakoś w codziennej rzeczywistości odnaleźć. Czy widzisz w polskiej kulturze jakieś elementy, które mogą ten proces ułatwiać albo przeciwnie – sprawiać problemy?

To trudny temat. Oczywiście dużo zależy od konkretnej osoby: od obcokrajowca – jakie on ma podejście do innych kultur, i odwrotnie – jakie dana kultura ma podejście do różnych osób. To pracuje w dwie strony. Ktoś może się czuć osamotniony, zdany na samego siebie i uważać, że Polska nie daje mu nic, ale musimy też zapytać o to, dlaczego ta osoba nie pójdzie, powiedzmy, do kawiarni na Stolarskiej i nie wypije tam lampki wina z innymi? To sprawa dwustronna. To nie fair, gdy widzimy, że obcokrajowiec czuje się tu źle, nie ma miejsca dla niego, nie jest akceptowany; widzi, że ludzie patrzą na niego niechętnie z powodu koloru skóry, języka, religii czy narodowości. Choć ja sam od 11 lat nie miałem z tym ani jednego problemu. Ani na ulicach, ani w knajpach, ani na Akademii Muzycznej, ani w urzędzie. Cały czas czuję, że jestem krakowianinem.

Mam bardzo poważne podejście do kultury. Nie ma takiej opcji, żebyśmy mogli myśleć o rozwijaniu między ludźmi relacji bez kultury. To przez kulturę możemy osiągnąć pokój, lepszą atmosferę i to właśnie kultura buduje mosty pomiędzy ludźmi. Ona jest ważniejsza niż inne formy relacji, bo gdy na przykład tworzymy biznes, to ta relacja trwa tylko tak długo, jak długo prowadzimy ze sobą interesy; gdy znika biznes, znikają też relacje. A mosty zbudowane przez kulturę są nie do zniszczenia.

Co może sprawiać trudność cudzoziemcom osiedlającym się w Polsce?

Na pewno bardzo trudno jest pojechać do innego kraju bez znajomości języka. Tak jak ja – gdy przyjechałem do Polski, nie mówiłem po polsku ani jednego słowa. Nic a nic. Ale też nie wstydzę się, gdy mówię z błędami...

Z błędami, czyli jak wszyscy Polacy...

Tak, po jakimś czasie zorientowałem się, że Polacy też mówią z błędami [śmiech]. OK, no to mówię z błędami, i co z tego? A w Syrii nie robię błędów, kiedy mówię po arabsku? Oczywiście, i to nie tylko ja.

Dlatego ta dwustronność, o której mówiłem, jest taka ważna. Więc z waszej strony – to znaczy z naszej strony, bo teraz już jestem Polakiem – musimy w jakiś sposób dać człowiekowi poczucie, że on tu jest w domu. To dotyczy różnych aspektów. Według mnie najważniejsze jest to, w jaki sposób dbamy o jego wolności – ale w tym sensie, że on również respektuje nasze wolności. Wolność nie może być jednostronna. Jak mówią Francuzi: twoja wolność kończy się na końcu twojego nosa, prawda? Jestem wolny pod warunkiem, że nie przeszkadzam twojej wolności.

Niestety żyjemy w takim czasie, gdy wszyscy myślą, że walczą o wolność. Tylko że z powodu egoizmu każdy walczy o własne wolności, a w ogóle nie patrzymy na innych. Wszędzie tak jest. Kiedy piszemy komentarze w social mediach, nawet nie myślimy o tym, czy ten komentarz przeszkadza innym, czy nie. Gdybyśmy zastanowili się, czy przez nasz komentarz choć jedna osoba może zapłakać, nie publikowalibyśmy go. A przynajmniej nie powinniśmy. Ale nie myślimy o tym. Druga osoba dla nas nie istnieje. To jest ta przerażająca cecha social mediów – że nie widzisz naprzeciw siebie drugiej osoby, tylko ekran.

Wobec tego jeśli w kulturze damy każdemu troszeczkę wolności i nie będziemy na niego patrzeć jak na obcokrajowca, to wtedy pozwalamy, by, krok po kroku, narodziło się poczucie „Aha, jestem akceptowany”. Nawet jeśli jestem Syryjczykiem, to jestem też „nasz”. I to jest duża różnica.

Co pomogło ci poczuć, że jesteś „nasz”?

Mój kolega Roman, z którym zawsze śpiewamy i pijemy kawę lub wino na Stolarskiej, mówi o mnie: „To jest nasz Syryjczyk”. Dla niego jestem bratem. Kiedy dostałem obywatelstwo, podarował mi elementarz i wiersz „Polak mały” – no bo każdy Polak musi czytać elementarz [śmiech] – i od tego momentu zawsze mówi: „Jesteś Syryjczykiem, ale jesteś nasz”. I to dało mi troszeczkę komfortu. Również w Akademii Muzycznej w Krakowie jest przepiękna międzynarodowa atmosfera, czujesz, że profesorowie interesują się tobą, wszyscy są bardzo życzliwi. Nawet jeśli nie znasz polskiego, starają się wszystko tłumaczyć tak, żebyś zrozumiał. No i koniecznie muszę wspomnieć o Edwardzie Reyu, twórcy Kontaktu – Przestrzeni Ruchu, Tańca i Muzyki przy ulicy Szpitalnej. Myślę, że czasem też jest w tym element losu – spotkać człowieka, który nie myśli ani o granicach, ani o różnicach między ludźmi. Jestem wdzięczny za to, że najpierw Akademia Muzyczna im. Krzysztofa Pendereckiego, potem Edward Rey

stworzyli dla mnie takie miejsce, gdzie czuję, że nie ma granic. I otworzyli dla mnie bardzo ważne drzwi.

Kategoria „skąd jesteś” nie jest najważniejsza?

Zdecydowanie nie jest najważniejsza. Ale ważne jest też własne nastawienie, wchodzenie przez te otwarte drzwi.

Wczoraj byłem na Stolarskiej – to jest taki mój drugi dom, gdzie przychodzi cała nasza ekipa, zawsze jest ktoś znajomy. Teraz też jak skończymy wywiad, to pójdę, jak codziennie od dziesięciu lat, do Kuranta przy Rynku na kawę. No i też każdego dnia czytam po polsku: gazetę lub książkę. Nawet jeśli to tylko pięć linijek lub strona. Ale robię to regularnie, krok po kroku i mówię po polsku coraz lepiej. I to też jest znak, że chcesz poznać miejscową kulturę. Jeśli wchodzisz do sklepu, w którym pani na kasie nie mówi po angielsku, naprawdę nie możesz powiedzieć do niej „cześć!”? To przecież nietrudne. Wszystko zależy od człowieka i dlatego mówię, że to jest relacja dwustronna.

Będąc nowym mieszkańcem, można jakoś na tę relację wpływać?

Tak. Trzeba cały czas wypracowywać kompromisy między ludźmi. Nie można tylko mówić: Polska ma dać to albo Polska ma dać tamto. No dobrze, a sam ten człowiek też coś musi dać, prawda? Jeżeli mamy wolę kompromisu i szanujemy się nawzajem, to wiele problemów po prostu znika. Jeżeli chociaż troszeczkę znasz język polski, to pokazujesz, że chcesz być z tymi ludźmi tutaj. Na przykład w Kurancie spotykam zawsze przed południem kilkoro starszych ludzi i oni są teraz moimi kolegami. Nawet nie musimy pić razem kawy, ale mówimy sobie „Cześć Wassim!”, „Cześć!”.

Miałem też bardzo śmieszne sytuacje, kiedy dzwoniłem do iCara – 11 lat temu jeszcze trudno mi było swobodnie komunikować się po polsku, więc zawsze był problem z podaniem imienia jako hasła. Gdy podawałem imię Wassim, słyszałem w odpowiedzi: „Jak? Co?”. Aż w końcu powiedziałem: Krystian. I od tego momentu do dziś moje hasło w taksówkach to Krystian. Jakaś inna osoba mogłaby być z tego powodu zła: dlaczego nie potrafisz wymówić mojego imienia? Ale dla mnie – co to za różnica, Wassim czy Krystian, jeżeli po prostu potrzebuję zamówić taksówkę? Może temat tożsamości jednak nie jest taki ważny w tej sytuacji, nie? No i teraz w sieciach taksji jestem panem Krystianem. Łatwiej? Łatwiej!

To niby są drobne rzeczy, ale pokazują pewne zasady – co trzeba przetłumaczyć, żeby coś zaczęło działać lepiej.

To po prostu kwestia podejścia do rzeczywistości. Ja z moim podejściem naprawdę nie spotkałem się z ani jednym problemem w Polsce. Ani razu!

To specyfika twojego charakteru, twojej osobowości. Myślę, że osobom zamkniętym w sobie, bardziej wycofanym albo takim, które przybyły tu w dramatycznych okolicznościach, bardzo trudno wejść na poziom takiej swobody.

Tak. I to jest też zadanie dla kultury. Jak stworzyć taki system, żeby nowa osoba mogła się łatwo zaangażować? Żeby nie było jej wstyd? Żeby wiedziała, że można do was przyjść? Taka osoba powinna poczuć się zaproszona.

W jaki sposób zapraszać? Jak sygnalizować, że jesteśmy otwarci? Co może ludzi przyciągnąć i zachęcić?

Trzy lata temu robiłem projekt „Kultura od kuchni”. Moim zdaniem w kuchni jest coś kluczowego. I to jest prawda, że kuchnie z Włoch, z Indii, z Hiszpanii, z Polski, z Syrii, z Turcji mają swoją specyfikę – każdy kraj ma swoją kulinarną tożsamość. Podczas tych spotkań tworzyły się między ludźmi jakieś relacje, szczególnie gdy goście z innych krajów i Polacy gotowali razem. Można było spróbować różnych smaków i dowiedzieć się, co to jest i jak się to przyrządza. Ja do tego dołączałem jeszcze koncert, ale myślę, że sprawdziłaby się też wystawa – w takim zestawieniu kultura pomaga się otworzyć. Moim zdaniem to jest dobre wyjście.

W pewnych sytuacjach kultura wysoka może przeszkadzać?

Dwudziestolatkowie, studenci, mają po prostu inne podejście. Bardziej interesują ich relacje. Jeśli ktoś tu przyjechał na Erasmusa na sześć miesięcy, to przede wszystkim chce doświadczyć czegoś nowego, poznać tę kulturę na szybko i wracać do domu.

Inaczej wyglądają nasze relacje z ludźmi, którzy chcą tutaj zamieszkać. Tu trzeba myśleć o budowaniu zaangażowania. Moim zdaniem, jeśli instytucje kultury chcą zrobić coś dla nowych mieszkańców, to warto zorganizować na przykład warsztat, imprezę lub wyjazd integracyjny. Lepiej zrobić piknik z kulturą niż po prostu jakieś wydarzenie kulturalne, na które przyjdzie dziesięć osób.

Natomiast jako chór sięgacie po coraz ambitniejsze zadania, właśnie po tę kulturę wysoką. Co wam pomaga w rozwoju?

Jakiś czas temu spotkałem się z panem Janem Tomaszem Adamusem, dyrektorem Capelli Cracoviensis. Opowiedziałem mu, że od ośmiu lat prowadzę w Krakowie chór, który już jest na takim poziomie, że nie osiągniemy nic więcej, jeżeli nie zaczniemy współpracować z profesjonalistami. Powiedziałem, że potrzebuję jego wsparcia, a on na to od razu: „Absolutnie tak, tylko daj mi chwilę, bo muszę pomyśleć, w jakiej formie”. Początkowo myśleliśmy o jakimś wspólnym warsztacie emisji głosu, ale potem zadzwonił do mnie i powiedział, że najlepiej będzie, jak po prostu razem popracujemy. Bo to nam da zupełnie inne możliwości i odpowiedzialności – praca z dyrygen-

tem, z instrumentalistami, ze śpiewakami. No i mamy teraz nowe utwory, weszliśmy na wyższy poziom.

To jest moim zdaniem najlepszy przykład tego, w jaki sposób dwie strony mogą być na siebie otwarte. Ja poprosiłem o pomoc, ale też druga strona mówi: jak najbardziej, zapraszam! I naprawdę bez współpracy z Capellą Cracoviensis nie mógłbym iść z Chórem dalej. Mój chór – czyli ludzie, którzy kochają muzykę – i oni chcą iść do przodu.

To dobra okazja, żeby podziękować w tym miejscu Chórowi w Kontakcie, bo bez tych pięknych ludzi nie mógłbym nic zrobić. W jaki sposób mógłbym prowadzić chór, jeśli ludzie nie chcieliby śpiewać? To również kwestia ego: dobrze, ja jestem kompozytorem czy dyrygentem, ale jak mógłbym występować, gdybym nie miał orkiestry? Potrzeba troszkę pokory – wtedy ja traktuję to tak, że mam funkcję dyrygenta, a oni mają funkcję śpiewaków. Oni bez dyrygenta nie mogą, dyrygent bez chóru też nie – to jest wspólna praca.

Wspólna praca jako lekarstwo na egoizm?

Dokładnie. Nie istnieje chór złożony z solistów. Co innego, gdy mamy utwór na chór, orkiestrę i solistów – wtedy oni pełnią inne funkcje. Ale wszyscy tworzymy coś wspólnie.

I tak samo jest z obcokrajowcami – kiedy pracujemy razem, to jest najlepsze zaangażowanie. Róbmy coś razem. To zadziała.

JESTEŚMY SUPER- RÓŻNORODNI

rozmowa
z **Karoliną Czerską-Shaw**

ELŻBIETA KAPROŃ: Polska przechodzi obecnie duże zmiany. Ze względu na demografię, globalne procesy ekonomiczne, klimatyczne, konflikty polityczne i wojenne, które toczą się w wielu miejscach, będzie przybywać osób osiedlających się w Polsce na stałe albo na jakiś czas. Jesteśmy albo powinniśmy być świadomi, że nasze społeczeństwo będzie się stawało coraz bardziej wielokulturowe i zróżnicowane społecznie. Jednak polityka po II wojnie światowej sprawiła, że zaczęliśmy się postrzegać jako jednorodną, monokulturową grupę i, mimo że to się stopniowo zmienia, wielu z nas nadal myśli, że jesteśmy społeczeństwem homogenicznym. Dużo się w tym kontekście mówi o wsparciu adaptacyjnym migrantów, trochę mniej o tym, że to duża zmiana również w życiu dotychczasowych mieszkańców Polski. Jak mamy radzić sobie z tym stanem rzeczy?

KAROLINA CZERSKA-SHAW: Myślę, że sam termin „społeczeństwo homogeniczne” jest błędny – również w odniesieniu do Polski. Przychodzi mi do głowy analogia z Niemcami, które przez wiele dekad po II wojnie światowej, aż do 2001 roku, nie uznawały się za kraj wielokulturowy. Świadoma zmiana i w retoryce, i w prawie nastąpiła dopiero we wczesnych latach dwutysięcznych, a to, co się działo wcześniej, też w pewnym sensie świadomie, było raczej wypieraniem tej różnorodności, która w rzeczywistości przyrastała w szybkim tempie. Myślę, że przechodzimy coś podobnego w Polsce w tym momencie.

Bo też musimy zobaczyć, gdzie faktycznie ta różnorodność jest. I jednak mamy do czynienia z takimi „kieszonkami” wielokulturowości. Jeśli wyjdziemy tutaj, w Krakowie, na Rynek, to tę wielokulturowość widzimy i bardzo dobrze wiemy, że to nie tylko turyści. Ale w niewielkich miejscowościach, zależnie też od tego, w której części kraju się znajdują, wielokulturowość nie jest tak wyraźna, w zasadzie prawie jej nie ma. I właśnie to jest takie mylące.

Według najnowszych danych niektóre duże miasta w Polsce są już nawet w 20% skomponowane z osób z różnych kultur. To jest dokładnie taki sam wskaźnik jak w Kanadzie, gdzie co piąta osoba w skali kraju pochodzi spoza jego granic. A tutaj mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem, tyle że w sposób skoncentrowany. Oznacza to również, że stoją przed nami i możliwości, i wyzwania, które są związane z wielokul-

tuowością. Ten proces toczy się na naszych oczach, dlatego uważam, że mówienie o homogeniczności jest mylące.

Dobrze, czyli homogeniczność jest błędnym pojęciem odnoszącym się do teraźniejszości. A ja myślałam, że w ogóle oprotestowałam myślenie o jednorodności.

To też! W ogóle podważyłabym trochę to pojęcie. Steven Vertovec, wybitny badacz transnarodowości i migracji, posługuje się pojęciem *superdiversity*, czyli superróżnorodności. Chodzi o to, że różnorodność jest też intersekcyjna: obejmuje i etniczność, i kulturę, i wyznanie, i wiek, i tożsamość genderową itd. Myślę, że to jest dobry pryzmat do patrzenia na współczesne społeczeństwa, które mają różnorodne tożsamości i trzeba jakoś negocjować relacje między ludźmi o różnych tożsamościach.

Rzeczywiście, gdy mówimy o wielokulturowości, to kultury nam się kojarzą przede wszystkim narodowo, etnicznie, symbolicznie. A w pojęciu różnorodności może jednak łatwiej odnaleźć też samego siebie?

Tak! Nasze tożsamości nakładają się i przecinają w różnych wymiarach.

Zilustruję to anegdotą. Po jednym z warsztatów, na których rozmawialiśmy o zwiększaniu dostępności informacji publicznej dla migrantów, podeszła do mnie pani, której syn ma autyzm. Opowiedziała mi o tym, że dla niego wszystkie te biurokratyczne formularze, procedury administracyjne, to rzeczy bardzo trudne do zrozumienia. Ich język jest bardzo formalny, niby wszystko jest po polsku, ale trudne do właściwego odczytania. Dokładnie tego samego doświadczyłam ja, gdy przyjechałam do Polski. Mimo że mówiłam po polsku już wcześniej, totalnie nie rozumiałam tego urzędowego języka, nie potrafiłam w nim znaleźć jakichś ścieżek czy informacji, jak coś trzeba zrobić. No i zorientowałyśmy się, że miałam dokładnie taki sam problem jak syn tej pani, który jest Polakiem, tyle że ma specyficzne cechy, które sprawiają, że spotyka się z podobnymi trudnościami w odbiorze informacji.

Więc pod tym względem myślę, że ciekawie i pożytecznie jest patrzeć na nasze społeczeństwo przez pryzmat superróżnorodności.

W tym sensie każde ułatwienie wprowadzane z myślą o osobach z różnymi potrzebami może służyć nie tylko im. Rozwiązania dobre dla migrantów są dobre dla wszystkich?

Dokładnie. Wszystkim nam się to naprawdę opłaca.

Kiedy stykamy się z taką różnorodnością przebiegającą przez różne wymiary naszych tożsamości, jaka wiedza jest nam potrzebna, żeby się w tej rzeczywistości odnajdywać?

Mamy [...] do czynienia z dynamicznym procesem, który zachodzi nie tylko w Polsce, ale i globalnie. Można powiedzieć, że to przejście od migracji postkolonialnej do jej zglobalizowanego wymiaru.

Może zacznę znowu od tego pojęcia superróżnorodności.

Coraz więcej ludzi migruje nie tylko z różnych kultur, ale też z rozmaitych środowisk ekonomiczno-społecznych, z różnymi zasobami kulturowymi, społecznymi, ludzkimi, ale też z różnymi statusami formalnymi – czy to są pracownicy międzynarodowych firm czy robotnicy sezonowi, studenci, osoby pod tymczasową ochroną czy łączące się uchodźcze rodziny. W Polsce mamy wiodącą narodowość migrującą w postaci Ukraińców i Ukrainek, ale widzimy też bardzo dużą różnorodność w pozostałych grupach migrantów. Mamy więc do czynienia z dynamicznym procesem, który zachodzi nie tylko w Polsce, ale i globalnie. Można powiedzieć, że to przejście od migracji postkolonialnej do jej zglobalizowanego wymiaru.

Na czym polega różnica?

Migracje, na przykład do Niemiec, związane były z programami pracowniczymi – wszyscy pamiętamy pojęcie gasterbajtera, prawda? Więc wiemy, że w Niemczech powstała w ten sposób duża diaspora z Turcji, z Tunezji i jeszcze kilku krajów. We Francji to społeczności z Algierii, z Maroka i innych byłych kolonii francuskich. W Wielkiej Brytanii tak samo. Te społeczności tworzą tam duże diaspory. A w Polsce nie mieliśmy tego okresu, bo to Polacy wyjeżdżali. I to jest w pewnym sensie nasza szansa, bo nie mamy historii kolonializmu czy postkolonializmu, nie mamy tego naprawdę trudnego okresu od lat pięćdziesiątych do, powiedzmy, dziewięćdziesiątych, kiedy w różnych krajach próbowano z różnym powodzeniem wprowadzać polityki integracyjne. One się zmieniały i przy okazji zostało popełnionych wiele błędów, których skutki widzimy dziś. I myślę, że to też jest szansa, żeby jednak się czegoś nauczyć na tych błędach.

Co to za błędy?

Na przykład to, co jest bardzo trudne w krajach zachodnioeuropejskich, czyli urbanistyka, która w latach siedemdziesiątych, szczególnie we Francji, wyprodukowała enklawy, obszary zamknięte. To wszystko powstawało naprawdę z taką optymistyczną, dobrą myślą, a totalnie się nie udało. Więc tutaj mamy szansę na to, żeby jednak tę superróżnorodność lepiej zagospodarować.

Zobaczyć w niej zasób?

Tak. To może być zasób. Z jednej strony mamy, powiedzmy, osoby z dużym kapitałem kulturowym, społecznym i ogólnie z Zachodu, a w tym samym czasie pojawiają się osoby z innych blisko- i dalekokulturowych obszarów. Niedawno z moim kolegą Pawłem Kubickim napisaliśmy artykuł na ten temat, związany z dostępem do usług publicznych.

Kapitał społeczny miasta globalizującego się?

Tak. Dla nas było to ciekawe, żeby usytuować Polskę i Kraków w tym wszystkim. Znajdujemy się przecież w ciekawym miejscu, w pewnym sensie takiej semiperyferii Europy. Z jednej strony patrzymy na Zachód i faktycznie w naszych badaniach wychodzi, że osoby z Zachodu mają inne doświadczenie, szczególnie w usługach publicznych – są milej widziane, mają też może inne oczekiwania czy inne podejście do tych usług. Z drugiej strony mamy osoby bliskokulturowe, które mają w pewnym sensie podobne doświadczenie czy podobne wyobrażenie o usługach publicznych jak Polacy.

O ich niedostępności?

O niedostępności w instytucjach postkomunistycznych, tak. Ale z drugiej strony mają też inne oczekiwania. Co wyszło w naszych badaniach? Że największe oczekiwanie jest takie, żeby nie było w instytucjach korupcji. No i faktycznie, jak jej nie ma, to są już zadowoleni. Coś, co osobom, powiedzmy, z Kanady, nie przyszłoby nawet do głowy, chociaż na pewno i tam jest korupcja, ale niewidzialna.

Z kolei dla osób z tak zwanych obszarów dalekokulturowych bardzo widoczne jest poczucie nierównego traktowania. Ale ponieważ duża część osób przyjeżdżających tutaj w ogóle nie ma wyobrażenia o tej sferze, no to po prostu ma mniejsze oczekiwania i jak jest dobrze, to są zadowoleni. To się po angielsku nazywa *expectations-reality gap*. Jeśli ta rozbieżność oczekiwań jest niewielka – no to super!

Co z tym robić? Bo zaczęliśmy rozmowę od tego, że myślimy, że jesteśmy homogeniczni, a de facto jesteśmy superzróżnicowani. To są dwie skrajności, między którymi może pojawić się taka bardzo kusząca myśl: „Najlepiej nie róbmy nic. Samo się ureguje”.

Powiedziałabym, że z jednej strony jest w tym jakaś prawda. Że ludzie potrzebują po prostu przestrzeni. To znaczy, może potrzebują wsparcia finansowego, może wskazówki, informacji, komunikacji o tym, co można. Ale również potrzebują przestrzeni do samorealizacji. Szczególnie w sferze kultury i obszarów społecznych. Podczas wywiadów ewaluacyjnych w ramach rewitalizacji programu Otwarty Kraków razem z koleżanką Anetą Krzyworzeką-Jelinowską pytałyśmy różne osoby, co miasto ma robić, żeby wspierać tę przestrzeń wielokulturową. No i właśnie część osób nam powiedziała, że nic. My to sami dobrze robimy, sami dobrze się tutaj odnajdujemy. Tylko żeby nie było przeszkód w organizowaniu się.

Ja mam do tego inne podejście – że musi być coś pomiędzy. Musi być jednak taka przestrzeń do współpracy, do kontaktu, do ko-kreacji różnych rzeczy. Ona musi być, bo ludzie muszą mieć gdzie się spotkać, muszą mieć tę przestrzeń, żeby w ogóle się poznać. Ale tak naprawdę nie musimy wszystkiego dla wszystkich robić.

Przez ostatnich kilkanaście lat zajmowałaś się studentami uczestniczącymi w programach międzynarodowych UJ. Co wynika z tych doświadczeń?

Co roku mamy mnóstwo studentów zagranicznych, nie tylko na stypendiach Erasmusa, ale takich, którzy przyjeżdżają tutaj na dłużej. Ja sama też byłam taką studentką; przyjechałam tutaj jako obca i wiedziałam, jak trudno jest w tym wszystkim nawigować. Więc jak zaczęłam zajmować się innymi studentami w podobnej sytuacji, to bardzo dużo chciałam za nich załatwić. Chodziliśmy z moimi współpracownikami do wydziału do spraw cudzoziemców. Tam nawet nie wiadomo było, dokąd się skierować. Wszystkie drzwi były zawsze zamknięte. Teraz administracja publiczna bardzo pozytywnie się zmieniła – są okienka, jest przestrzeń otwarta. A wcześniej były po prostu pozamykane drzwi.

Takie, w które nie da się nawet zapukać?

Tak! A ja, kiedy tu przyjechałam, nie miałam pojęcia, że trzeba pukać w te drzwi. Po prostu stałam godzinami w kolejce. Bo zapukać – to nie! Oni mają otwierać te drzwi!

No i tak chodziliśmy z tymi studentami, dużo dla nich robiliśmy. I studenci faktycznie to doceniali. Ale w pewnym momencie zorientowaliśmy się, że jesteśmy za bardzo opiekuńczy. I w ostatnich latach zauważamy – oczywiście dużą rolę odgrywają tu media społecznościowe – że studenci mają już swoje kanały informacyjne, takie swoje *know-how*, wiedzę, jak to sobie przekazywać. I powoli też doszłam do tego, że może nie trzeba im pomagać we wszystkim, bo oni świetnie mogą sobie poradzić i nawet mieć takie poczucie, że zrobili to sami, że poszli do urzędu i załatwili sprawę. A my pomagamy im wtedy, gdy pojawią się jakieś problemy. I to też buduje jakieś poczucie sprawczości. Więc właśnie: czy nic nie mamy robić? No nie, nie do końca, bo muszą być jakieś ramy.

Do studentów stosunkowo łatwo docierać, bo mają swoje uczelnie, które dbają o ich potrzeby. A co robić z innymi grupami społecznymi, ludźmi, którzy pochodzą z różnych krajów, o różnych statusach społecznych, różnym kapitale kulturowym. Jak do nich docierać? Co im oferować?

Myślę, że jest to duże wyzwanie. Widzimy to też w Centrum Wielokulturowym, że ciężko przyciągnąć tych ludzi, zachęcić ich do działania.

No ale jeśli chodzi o sferę kultury, myślę, że najważniejsze jest to, żeby była ta przestrzeń spotkań i informacja, jak działać, jak dotrzeć do różnych publicznych funduszy, w jakie sieci można wejść – bo to może być w ogóle niejasne. Potrzebne są ramy, które pozwolą nam na działanie w tym wszystkim.

Rozumiem, że gdy mówisz o przestrzeni, to z jednej strony masz na myśli przestrzeń w sensie fizycznym – jakiś adres, jakiś dach, zwłaszcza w ziemie. Ale z drugiej strony mówisz o tym metaforycznie, prawda? Żeby przyciągnąć ludzi, musimy wzbudzić ich zaufanie i zainteresowanie. Czyli musimy mieć taką przestrzeń – tu mówię w obydwu sensach: i fizyczną, i metaforyczną – która ich przyciągnie, która ma to „coś”. Fajnie byłoby wiedzieć, czym jest „to coś”.

Więc mam tutaj cztery takie bardziej konkretne myśli o tych przestrzeniach i jak ludzi przyciągnąć. Oczywiście w czterech punktach nie zbawimy świata!

Ale spróbować możemy.

Pierwszą taką przestrzenią są biblioteki publiczne. Tu robię ukłon w stronę profesora Janusza Muchy, który dużo o tym mówi. W Kanadzie, gdzie się wychowałam, biblioteki są takimi dzielnicowymi centrami otwartymi. Wiesz, że tam będziesz bezpieczna. Jest ciepło – w moim rodzinnym Calgary jest bardzo zimno, więc ten dach nad głową jest ważny. Masz dostęp do sieci, do komputera. Dzieci mogą się tam bawić. I zawsze są jakieś zajęcia aktywizujące, na przykład dla osób szukających pracy, dla seniorów, dla dzieci. To jest wszystko bezpłatne. Wiesz, nieraz się śmiejemy, że w Kanadzie biblioteka to jest taka niania, bo tam się dzieci po prostu puszcza i wiadomo, że będą bezpieczne i zadowolone.

Myślę, że w Polsce to jest też naprawdę duży potencjał, bo biblioteki są przecież wszędzie. Ja mam najbliżej na Rajską, i to jest boska biblioteka. Ale nie znam tych mniejszych, choć może niektóre z nich są aktywne. I to, wydaje mi się, pierwszy taki punkt, który pozwala jakoś wchodzić w tę rzeczywistość.

Jak się przyjedzie do takiej miejscowości, dzielnicy, miasta, to od razu widać, że ludzie tam chodzą?

Tak! Widziałam to też w Szwecji. Pojechałam na konferencję, ale ponieważ akurat mamy tam znajomych, więc przyjechaliśmy z naszymi małymi wtedy dziećmi. Była zima. Ja chodziłam na spotkania, a mój mąż siedział z dziećmi w bibliotece. Mieli tam książki po angielsku i po polsku, byli inni rodzice z małymi dziećmi. Widać było, że tam się po prostu idzie, bo można tam spędzić czas – miło i za darmo. I takie przestrzenie są naprawdę bardzo potrzebne, żeby po prostu wyjść w tę sferę publiczną. Do tego właśnie biblioteki mają ogromny potencjał.

Tym bardziej że w wielu polskich gminach biblioteka jest jedyną instytucją kultury. Dom kultury czasem jest, a czasem go nie ma.

No właśnie, druga rzecz to są domy kultury działające w dzielnicach. Widzę, że niektóre, na przykład w Podgórzu, są bardzo aktywne i dynamiczne. Nie znam innych

dzielnic, ale to też jest duży potencjał, żeby przyciągać ludzi i tworzyć otwarte, darmowe przestrzenie.

Ale jednak to przyciąga nie wszystkich. Powiedzmy, że nie wszyscy chodzą do biblioteki, nie wszyscy chodzą do domu kultury.

Znowu odwołując się do kanadyjskich doświadczeń, mogę powiedzieć, że to, co przyciąga, szczególnie w sąsiedztwie, to jest sport. To są stadiony i miejsca do rekreacji. Nie wiem, czy wiesz, że w Krakowie działa klub krykieta. I tam są obcokrajowcy, szczególnie z Indii – bo w krykieta gra się w Wielkiej Brytanii, ale też w Bangladeszu i w Indiach. I to jest ich przestrzeń spotkań. Zresztą właśnie się dowiedziałam, że oni chcą się nauczyć, jak wypełniać wnioski na budżet obywatelski, żeby się rozwijać, bo faktycznie do krykieta jest potrzebny stadion, odpowiednia infrastruktura. I tu już docierasz naprawdę do różnorodnych ludzi z różnych klas społecznych, również z dalszych kręgów kulturowych. Jest mecz, można zrobić obok tego jakieś wydarzenie kulturalne dla rodzin.

Na mecz albo piknik może przyjść każdy, nie ma tam specjalnych wymagań ani językowych, ani finansowych.

No właśnie, pikniki też są dobre.

A wracając jeszcze do tych drzwi i ścian – może nie zawsze do końca są one potrzebne. To znaczy, na pewno na przykład Centrum Wielokulturowe potrzebuje siedziby i własnej multifunkcyjnej przestrzeni. To jest niezbędne. Ale pewna kreatywna osoba z Meksyku przy okazji wywiadu podsunęła pomysł na *pop-up places*.

Pop-up places? Miejsca, które sobie można rozłożyć i złożyć?

Dokładnie! Takie przestrzenie niekoniecznie na stałe. Myślę, że one mogłyby się pojawiać w różnych dzielnicach miasta, szczególnie w lecie. Mamy na przykład tę przestrzeń przy Wawelu, na dole, gdzie młodzi ludzie jeżdżą na deskorolkach. Tam nieraz były robione jakieś eventy, ale można by urządzić tam taką przestrzeń, gdzie przez ten tydzień jest taki *pop-up* – są mikrofony, są jakieś wydarzenia kulturalne, ale też mieszkańcy mogą coś powiedzieć. Takie spontaniczne przestrzenie, które przyciągną również przypadkowych przechodniów. W ten sposób można „złapać” inne osoby niż w bibliotece czy w centrum kultury.

Przyciągającą może być sama formuła: jak nie skorzystasz teraz, to kolejnej okazji trzeba będzie szukać już w innej części miasta.

Tak. To może być jakaś atrakcja.

Ostatnia rzecz, jaka mi przychodzi do głowy, to animowanie przestrzeni sąsiedzkich.

W jaki sposób – to jest już trudniejsze. Bardzo ciekawe było to, co się stało w trakcie tej całej oddolnej mobilizacji po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Tworzyły się takie sąsiedzkie sieci pomocy, jak ikoniczny już ośrodek na Dębnikach, takie miejsca, które faktycznie skupiają jakąś lokalną społeczność. Te świetlice, które powstały w różnych dzielnicach, to są naprawdę niesamowite miejsca.

Chyba trochę łatwiej jest działać tam, gdzie są dzieci, bo obecność dziecka wymusza aktywność – nawet jeżeli rodzic nie jest tak bardzo zainteresowany czy otwarty na kontakty, to jednak chce, żeby dziecko brało w czymś udział, rozwijało się, poznawało rówieśników.

To prawda. Przez dzieci można próbować dotrzeć do rodziców. Zwłaszcza jeżeli świetlice działają gdzieś blisko miejsca zamieszkania.

Zresztą w tych lokalnych społecznościach może drzemać jeszcze inny potencjał i zadanie nie tylko dla bibliotek czy domów kultury. Myślę o muzeach – żeby zastanowić się, jak przyciągnąć ludzi z otoczenia, a nie tylko tych, którzy chodzą do muzeum, bo mają tak zwane potrzeby kulturalne. Na przykład w Wielkiej Brytanii to popularny trend: budowanie strategii tych instytucji w duchu współtworzenia. Jest kilka naprawdę niesamowitych przykładów instytucji – między innymi Tate Modern Gallery – które zapraszają społeczność lokalną, żeby przychodziła i realizowała swoje własne projekty. Żeby okoliczni mieszkańcy poczuli, że to jest też ich przestrzeń. Myślę, że takie „triki” są przyciągające, ludzie mogą coś pokazać, coś zrobić i być częścią czegoś.

Nie tylko obejrzeć eksponaty, ale też współtworzyć opowieści o nich, a przez to i o sobie?

Po prostu czuć się częścią tego miejsca.

Byłam niedawno w Białymstoku na konferencji poświęconej migracjom. Utkwiła mi w pamięci wypowiedź muzealniczki ze Lwowa, która opowiadała o zabezpieczeniu zbiorów i samych muzeów przed zagrożeniami wojennymi. Oczywiście, przede wszystkim chodziło o fizyczne zabezpieczenie tych miejsc, ale najciekawsze było to, że najlepiej udało się „obronić” te placówki, które jeszcze przed wojną prowadziły wychodzące do ludzi projekty. Po prostu mieszkańcy aktywnie włączyli się w ich zabezpieczanie. I to mi zostało w pamięci, że jednak te centra, które są współtworzone przez ludzi, mają największą szansę na przetrwanie.

Pewnie nie tylko w sytuacji wojennej, po prostu mają rację bytu.

Tak. Więc może warto włączać takie myślenie: co jest w tych naszych ścianach i jak ta przestrzeń wychodzi do ludzi, którzy są wokół? Czy to miejsce jest dla nich przyjazne? Czy daje im schronienie?

I tu nie chodzi już o samych migrantów, tylko o tę lokalną, sąsiedzką społeczność.

Zamiast publiczności czy odbiorców, warto zobaczyć w ludziach uczestników czy współtwórców działań. W przypadku nowych mieszkańców pochodzących spoza Polski ważne będzie też pewnie budowanie poczucia przynależności. Jak możemy je wspierać?

Uff! No to jest duże pytanie!

Myślę, że takie poczucie przynależności jest bardzo złożone. Przede wszystkim potrzebny jest czas. I zakorzenienie. Na różne sposoby. Niektórzy mają hopla na punkcie historii czy kultury. Inni mają zakotwiczenie w drużynie sportowej, w pracy czy w dzieciach. Myślę, że z punktu widzenia różnorodnej społeczności sposoby zakorzenienia będą mocno zróżnicowane.

Potrzebne jest do tego poczucie, że coś nas wszystkich łączy?

Osobiście myślę, że tak. To może być taka elementarna ludzka solidarność, ale też na przykład piękno, które widzimy w sztuce.

Może poczucie odpowiedzialności, że powinniśmy razem dbać o ten kraj?

Tak, i to już jest taka przynależność obywatelska. To, że czujemy się odpowiedzialni za naszą dzielnicę, żeby było czysto, żeby segregować śmieci, żeby na co dzień mieć przyjemne interakcje społeczne, mówić dzień dobry pani w kiosku, którą codziennie widzimy. To jest taka codzienna przynależność, którą budujemy w rutynie. Również wtedy, gdy angażujemy się w szkole, do której chodzą nasze dzieci. To wszystko są ważne punkty zaczepienia.

A czy możemy do budowania przynależności wykorzystać jakieś elementy polskiej kultury, historii?

Odwołam się tu do osobistego doświadczenia, bo akurat mam dzieci w polskim systemie edukacyjnym. Jesteśmy rodziną polsko-kanadyjsko-brytyjską i moi synowie, gdy ktoś ich pyta, mówią, że są Polakami, ale tej historii, o której uczą się w szkole, w ogóle nie czują. Nie czują, bo trudno budować poczucie przynależności, jeśli na lekcjach historii mówimy tylko o mężczyznach, bohaterach, którzy walczyli pod Grunwaldem, Wiedniem i jeszcze gdzieś tam, nie?

No tak, w historii wojen trudno szukać odniesień dla siebie. Nie bardzo się nadaje do budowania tożsamości czy relacji.

Zdecydowanie się nie nadaje!

*Przede wszystkim potrzebny jest czas.
I zakorzenienie.
Na różne sposoby.
Niektórzy mają hopla
na punkcie historii
czy kultury. Inni mają za-
kotwiczenie w drużynie
sportowej, w pracy czy
w dzieciach. Myślę, że
z punktu widzenia róż-
norodnej społeczności
sposoby zakorzenienia
będą mocno zróżni-
cowane.*

Więc może powinniśmy szukać historii w muzeach. Wielu ludzi chodzi do nich po to, żeby zrozumieć, co to za miejsce, w którym się znalazłem, czym właściwie jest ta Polska? Historia miejsca jest chyba ciekawa?

Tak, jest superciekawa! Tylko pytanie, w jaki sposób ją opowiadamy.

Na przykład ze studentami międzynarodowymi byłam w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, tuż po jego otwarciu. Pod koniec wystawy był wyświetlany poruszający film i po wyjściu z muzeum wszyscy studenci właśnie o nim mówili. Po pierwsze, że wojna niszczy. Po drugie, że ta wojna była faktycznie światowa. Po trzecie, że coś nas w tym wszystkim łączy – bo ten film pokazywał też różne inne konflikty, które działy się już po II wojnie. Oni zobaczyli w tym takie przesłanie, że ta trauma i tragedie trwają. I to nas łączy. I może nawet jest w tym jakaś taka mała nadzieja, że trzeba to zmienić razem. Tak więc gdy pierwszym razem wyszliśmy z tego muzeum, byliśmy naprawdę bardzo przejęci tym wszystkim. Wszyscy znaleźli tam dla siebie punkt odniesienia.

Kiedy kilka lat później pojechałam tam z drugą grupą studentów, ten przekaz się zmienił. Film na końcu wystawy opowiadał o tym, jak bardzo my Polacy cierpieliśmy – wtedy i teraz. I odbiór studentów był całkowicie inny, po prostu nie bardzo wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi.

Myślę, że w tej reakcji studentów kryje się odpowiedź na to, jak przekazywać tę naszą naprawdę bardzo ciekawą i różnorodną historię. Myślę, że nadszedł czas, żeby podejść do naszej historii i kultury bardziej krytycznie, ale w pozytywny sposób. I też w jakimś dialogu, w końcu nie byliśmy w tej historii sami!

No i nie była ona taka sama dla wszystkich. Inaczej wyglądała z perspektywy kobiet, królów, dzieci, generatów... Krótko mówiąc, powinniśmy stawiać na różne narracje i różne perspektywy?

Tak! Narracje osobiste, historie ludzi. Tam każdy znajdzie coś inspirującego dla siebie.

Podobnie jest z naszą rzeczywistością – tu i teraz? To, co pozwala się poczuć zakorzenionym, jest wielowymiarowe, rozłożone w czasie i nie da się tego załatwić jednym magicznym ruchem, że czary-mary i już się tutaj będę czuł dobrze i u siebie?

Taki klik – i już! Byłoby fajnie.

Myślę, że może podstawową rzeczą jest to, żeby czuć się bezpiecznym. Chodzi o bezpieczeństwo fizyczne, ale też psychiczne – że czujemy się bezpieczni w naszej przestrzeni, że możemy działać, że możemy partycypować. Albo że możemy po prostu być.

Że mamy prawo też nie działać?

Dokładnie. To też jest ważne.

Że to nie na zaangażowaniu polega moje prawo do bycia tutaj i czucia się u siebie?

Tak. Myślę, że to jest jednak podstawa, ale to jest też złożone.

Jeśli czujemy się bezpiecznie, jeśli mamy poczucie, że jesteśmy uznawani w tych naszych różnych tożsamościach, że nie jesteśmy dyskryminowani, że mamy właśnie tę przestrzeń, żeby działać i rozwijać się, że możemy mówić – oczywiście w granicach prawa – co myślimy... To jest właśnie to, z czego rodzi się poczucie przynależności.

Superważne są też nasze sieci kontaktów. I nawet może nie tak bardzo chodzi o współdziałanie, ale o takie zwykłe funkcjonowanie wśród innych, niekoniecznie w sieci, tylko nawet obok siebie; wzajemne dopełnianie się czy uzupełnianie.

Każdy z nas ma swoje życie i nawet gdy nasze drogi się nie przecinają, jesteśmy sobie do czegoś potrzebni wzajemnie?

Tak. I nieraz wchodzimy w te sieci, ale nieraz możemy po prostu sobie być i czuć się bezpieczni w tej naszej drodze. Każda historia ludzka będzie inna i będą w niej zestaw czynników, a nie jakieś pojedyncze wydarzenie, które sprawiło, że nagle poczułam się super. Tak to już jest.

MAŁOPOLSKA
Wielu Kultur



małopolski
instytut
kultury **mik**

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

 MAŁOPOLSKA

Wydawca:

Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
30-233 Kraków, ul. 28 Lipca 1943 17C
tel. 12 422 18 84, www.mik.krakow.pl
Dyrektorka: Joanna Orlik

Opracowanie merytoryczne: Elżbieta Kaproń

Redakcja: Martyna Tondera-Łepkowska

Korekta: Aleksandra Kleczka

Projekt graficzny i skład: Aneta Sitarz

Publikacja powstała w ramach programu Małopolska Wielu Kultur

Koordinacja: Wiktoria Baliants

ISBN 978-83-67862-15-8

© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie

Kraków 2023

Publikacja nieprzeznaczona do sprzedaży, dostępna na międzynarodowej licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Na tych samych warunkach 4.0 (CC BY-NC-SA 4.0).